Nr. 46. Warszawa, dnia 18 (6) Listopada 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

KONTRAKT I PRZYJAŹŃ.

Jeżeli Bismark o traktatach, na których położyli swe imiona królowie pruscy, mógł powiedzieć, że „one nie warte są feniga," to chyba dziś nikt nie wątpi, że moc tych najuroczyściej spisanych i podpisanych papierów zależy od możności podarcia ich lub utrzymania którejkolwiek ze stron. Skoro tedy prasa trójprzymierza przeciwstawia formalny kontrakt swoich państw słownemu porozumieniu się Francyi z Rosyą, nie dowodzi przez to większej siły pierwszego, niż posiada drugie. Zarówno bowiem spisany układ trzech mocarstw, jak niespisany dwu o tyle ma wagę i wpływ na losy świata, o ile uczestnicy zechcą pozostać w zawartym związku. Daleko większe znaczenie dla rzeczywistości posiadają zawsze spełnione fakty, niż ich formalna oprawa. Takim zaś niezaprzeczonym, choć w żadną określoną formę nieujętym faktem jest przyjaźń rusko-francuska, która wydała już nietylko kwiaty w ostentacyjnych przyjęciach eskadry ruskiej, ale i owoce w politycznych operacyach Francyi. Uwidoczniły się one szczególnie w tej śmiałości głosu i działań, jakiej Rzeczpospolita od pogromu ani razu nie objawiła. Wyobraźmy sobie, że zatarg z Syamem przypadł przed 10 laty. Wtedy Francya z pewnością nie postawiłaby takich warunków temu krajowi, nie wciągnęłaby go jednym zamachem do sfery swych interesów, nie urągałaby tak wyzywająco Anglii i nie zmusiła jej do zupełnego milczenia w sprawie bardzo blizko obchodzącej rząd wielkobrytański. Przed 10 również laty generał Dodds nie podbiłby tak swobodnie Dahomeju i nie zatykał uszu na wszystkie prośby króla Behanzina. W owej epoce wroszcie sterroryzowana i upadła na duchu Rzeczpospolita nie wyciągnęłaby tak energicznie ręki po nowe nabytki w Afryce północnej, skoro tylko tam wybuchł bunt przeciw hiszpanom. Jeżeli to wszystko teraz zrobiła, zrobić mogła i śmiała, zawdzięcza Rosyi która swą przyjaźnią nadała jej znaczenie, odwagę i pewność siebie. Niewątpliwie zobaczymy to jeszcze wyraźniej w dalszym ciągu polityki francuskiej. Umysły ludzkie bardzo łatwo grzęzną w pewnych kategoryach, z których nie mogą się wydobyć nawet wtenczas, gdy rzeczywistość zwraca je w inną stronę. Od lat dwudziestu stało się dogmatem powszechnej wiary, że Francya marzy tylko o odwecie na Niemcach i o odebraniu im Alzacyi i Lotaryngii. Jakkolwiek ta idea a raczej jej dźwięk słowny powtarza się we wszystkich śpiewkach i deklamacyach francuskich, może nikt za Wogezami nie myśli na seryo o wojnie z Niemcami i o odzyskaniu dwu utraconych prowincyj. Tam ludzie są daleko praktyczniejsi i korzystają ze swego wzmocnionego stanowiska w tym kierunku, w którym oczy świata są najmniej zwrócone — w kierunku nowych nabytków po za granicami Europy. Dzięki tej praktyczności, zamiast Alzacyi i Lotaryngii, posiada Francya Syam, Dahomej, a wkrótce posiadać będzie jeszcze więcej. W słowach pozostała przy dawnem haśle, ale w czynach wywiesiła nowe, daleko zyskowniejsze i prędzej prowadzące do celu.

Oceniając te korzyści, Francya nie zaniedbuje żadnego hołdu dla swej dobrodziejki, której jest dłużniczką polityczną. Świeżo właśnie dopełniły takiego aktu oba ciała prawodawcze, które w uroczystościach tulońsko-paryskich z powodu feryj nie mogły przyjąć udziału. W Izbie deputowanych prezydujący tymczasowy Blanc wypowiedział mowę, w której wyraził radość, że nowy okres prac parlamentarnych rozpoczyna się pod tak szczęśliwym znakiem, jak entuzyazm tłumów dla gości ruskich. „Dwa narody, pociągnięte ku sobie wzajemnemi sympatyami, zapisały w swych sercach pokój europejski. Nigdy nie zapomną one wiekopomnego telegramu, w którym Wspaniałomyślny Monarcha w łaskawych słowach stwierdził przyjaźń dwu narodów i ich pokojowe uczucia. Francya może być teraz spokojna. Nie jest ona osamotniona, skoro obok niej stoi przyjacielski i potężny naród. Nie potrzebuje ona obawiać się żadnych niebezpieczeństw w przyszłości, owszem, może być pewna spełnienia się jej nadziei." W Senacie stary Challemel Lacour oświadczył również, że wizyta marynarzy ruskich wielce uradowała całą Francyę. „Gdyby w owym czasie Senat był zgromadzony, poczytywałby sobie za szczęście, gdyby mógł był przyłączyć się do objawów radości ogółu francuskiego. Jesteśmy przekonani, że sympatye obu narodów będą długotrwałe i okażą się *na niejednym punkcie kuli ziemskiej*. Narody te nie mają interesów sprzecznych. Senat zapewnia Jego Cesarską Mość Najjaśniejszego Pana i Rodzinę Cesarską o swojem poważaniu i w tej wysokiej przyjaźni wita nadzieję utrzymania pokoju i postępu cywilizacyi."

Obie te mowy przyjęte były przez zgromadzonych rzęsistymi oklaskami.

Reportorzy polityczni usiłują koniecznie przeniknąć tajemnicę, czy pomiędzy Rosyą a Francyą istnieje jakaś umowa spisana, czy też tylko ta wymiana uczuć, na którą wszyscy patrzą. Jest w tem usiłowaniu stary nałóg przywiązywania wagi tylko do „czarnego na białem" a lekceważenia przyrzeczeń ustnych, a nadewszystko sympatyi interesów, która zwykle jest najtrwalsza ze wszystkich. To też przyjaźń rusko-francuska, zawarta nietylko przez dwa rządy, ale i przez dwa narody, nie jest bynajmniej faktem mniej doniosłym, niż kontrakt trójprzymierza. Tym sposobem Europa obecnie podzieliła się na dwie złożone potęgi, których stosunek względem siebie rozstrzygać będzie o jej losach.

Z AUSTRYI.

Nowy gabinet. — Jarmark tek ministeryalnych. — Bajka o Jacku i ośle. — Ministeryum oświaty i spraw wewnętrznych. — Arytmetyka gabinetowa. — Członkowie gabinetu: Plener, Jaworski, Wurmbrand, Madeyski. — Spuścizna po hr. Taaffem.

Parturiunt montes nascitur ridiculus mus! Po ciężkim porodzie ujrzał świat wreszcie nowy gabinet austryacki. Jest to płód najdziwaczniejszy może, jaki dotychczas wydało życie parlamentarne europejskie. Ochrzcił się sam mianem „gabinetu parlamentarnego,“ w istocie jednak zawiera tyle figur bezbarwnych, że zasługuje raczej na nazwę gabinetu „rządowego“ lub „urzędniczego.“ Wyszedł z przesilenia, któremu chcą nadać znaczenie zwycięztwa liberałów niemieckich nad rządem, a jest gabinetem najbardziej konserwatywnym, jaki kiedykolwiek posiadała Austrya. Jest on rządem bez programu, ciałem bez głowy, którego członki pojedyncze nie stoją w związku z sobą, cyfrą, której z góry odebrano wszelką poważniejszą wartość, umieszczając z przodu cały szereg zer. Być może, że właśnie ta okoliczność przedłuży żywot jego, gdyż wiadomą jest rzeczą, że w Austryi trwa najdłużej to, co jest z natury swej przejściowem. Nie potrafi go ona jednak uchronić przed zgubą niechybną, której przyczyny dziś już każdy z łatwością przewidzieć może.

Zaznaczyły się one zresztą dość wyraźnie w ciągu układów między stronnictwami, które wypełniły tydzień ostatni. Cechą ogólną tych rokowań była chwiejność i bezradność po stronie liberałów niemieckich, a natomiast stanowczość postępowania i pewność siebie u konserwatystów, jako też ukryta łączność Koła polskiego z klubem Hohenwarta we wszystkich kwestyach, dotyczących przyszłego wpływu politycznego stronników Plenera. Ilekroć szło o sprawy czysto osobiste, zwycięztwo pozostawało po stronie niemców; ile razy jednak wchodziły w grę interesy żywotne i kwestye zasadnicze, opór obu klubów konserwatywnych stawał się niezłomnym, położenie przybierało charakter groźny, pogłoski o powrocie hr. Taaffego zaczynały krążyć — i krążyły tak długo, aż przestraszeni stronnicy Plenera uginali karki pod jarzmo konieczności. Gra ta ponawiała się dość często, a dla urozmaicenia jej pojedyncze strony usiłowały wprowadzać się nawzajem w błąd co do istotnych swych zamiarów.

Do kwestyj zasadniczych należało przedewszystkiem rozdanie tek spraw wewnętrznych i oświaty. Pierwsza zapewnia stronnictwu, którego staje się udziałem, wpływ górujący przy najbliższych wyborach, do których niebawem przyjść musi. Druga oddaje w ręce jego inicyatywę w sprawie szkoły wyznaniowej, stanowiącej główny cel dążeń konserwatystów austryackich. Na obu punktach ustąpić musieli niemcy, którzy z początku żądali stanowczo, aby obie te teki im przypadły. Przy walce o ministeryum oświaty Koło polskie użyło wobec lewicy fortelu znanego z bajki o mądrym Jacku i upartem zwierzęciu, które go słuchać nie chciało. Opierając się z wszelkich sił kandydaturze Madeyskiego i ciągnąc stanowczo ku Bobrzyńskiemu, wywołali polacy u niemców efekt wyśmienity. Stronnicy Plenera uważali w końcu Madeyskiego za swego kandydata i ogłosili go przedstawicielem liberalizmu, co w istocie jest tylko śmiesznem nieporozumieniem. Korzystniejszym nieco dla niemców był wynik układów co do posady ministra spraw wewnętrznych. Uzyskali oni przynajmniej tyle, że miejsce to zostało próżnem, czyli mówiąc dokładniej, że zajął je były minister handlu, Bacquehem, zero polityczne, który przy obliczeniu przyszłych stosunków nie wchodzi wcale w rachubę. Obie te decyzye zapadły dopiero w ostatniej chwili, gdy spór wisiał już na ostrzu miecza. Przez chwilę mogło się wydawać, że posłannictwo ks. Windischgrätza spełzło na niczem. Naturalnie mogło się to tylko wydawać tym, którzy przy ocenianiu położenia trzymali się pozorów, gdyż w rzeczy samej rozpaczliwe miotanie się pojedynczych stronnictw było tylko zwykłym targiem, przy którym każda strona udaje, że chce odejść, wiedząc dobrze, że w końcu kupi lub sprzeda.

Nowy gabinet składa się z pięciu nowych ministrów i czterech odnowionych. Po raz pierwszy zasiadają w nim: prezes ks. Windischgrätz, minister skarbu Plener, minister handlu hr. Wurmbrand, minister oświaty i wyznań Madeyski, minister dla Galicyi Jaworski. Jako spuściznę po hr. Taaffem obejmuje gabinet ministra sprawiedliwości Schönborna, ministra rolnictwa Falkenhayna, ministra obrony krajowej Welsersheimba i poprzedniego ministra handlu, obecnie zaś spraw wewnętrznych, Bacquehema. Wśród członków rządu największą jest liczba zwolenników hr. Hohenwarta. Grupa feodalno-klerykalna liczy bowiem aż trzech przedstawicieli: Windischgrätza, Schönborna i Falkenhayna, podczas gdy inne dwa kluby mają tylko po dwóch: niemcy Plenera i Wurmbranda, polacy Jaworskiego i Madeyskiego. Bacquehema i Welsersheimba nie można zaliczyć otwarcie do żadnego ze stronnictw; zajmują oni stanowisko pośrednie, chociaż w danym wypadku odkryliby niezawodnie w sobie sympatyę dla Hohenwartowców, z którymi łączą ich urodzenie i stosunki towarzyskie.

Co się tyczy osobistości poszczególnych ministrów, to mogę poprzestać tu na krótkich charakterystykach, gdyż wizerunki niektórych zostały już skreślone w *Prawdzie* w roku przeszłym. Obok ks. Alfreda Windischgrätza, o którym była już mowa w liście poprzednim, naczelne role w przyszłym gabinecie odgrywać będą: Plener, Jaworski, Madeyski i Schönborn. Głównym czynnikiem rozkładu będzie Plener, który dziś już cieszy się antypatyą prawie wszystkich swych kolegów, a szorstkością i brakiem taktu doprowadzi niezawodnie wnet do zaostrzenia przeciwieństw i tak już dość ostrych w łonie rządu. Kierownictwo klubem lewicy nie przypadnie żadnemu ze zwolenników Plenera, lecz przejdzie na komitet złożony z pięciu członków, z których każdy naprzemian przez miesiąc będzie przewodniczył obradom stronnictwa. Należy przypuszczać, że znajdzie się między nimi niebawem ktoś, który potrafi ster raz uchwycony zatrzymać w swych dłoniach.

Stanowisko Jaworskiego w gabinecie nie będzie się bardzo różniło od tego, które zajmował dotychczas jako prezes Koła polskiego. Następcą jego w urzędzie przewodniczącego będzie prawdopodobnie Abrahamowicz albo Bobrzyński, gdyż mimo pogłosek o wrzekomym zamiarze stworzenia podobnego, jak u liberałów niemieckich, komitetu, spodziewać się można, że Koło zachowa dotychczasową swą organizacyę, której zawdzięcza w znacznej części swój wpływ polityczny.

Najmniej czynnym jest nowy minister handlu, hr. Gundakhar Wurmbrand. Był on dotychczas namiestnikiem Styryi i o-

2)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Raz był tkliwy, rzewny, sentymentalny, patrzył na nią, jak na bóstwo; usta i oczy jego mówiły:

— Tyś mojem marzeniem!..

Wydawał się wówczas prawie piękny. Rysy jego twarzy nabierały wielkich, delikatnych konturów; wargi zwykle ostre, płaskie, suche, wypukłały, drżąc zlekka; z rozszerzonych źrenic promieniował zapał natchnienia i polot myśli. Pogoda, jasność, energia, siła męzka uderzały w całej jego postaci.

Jak odmiennym bywał wówczas, gdy chmurne jego czoło zdradzało burzę wewnętrzne nieuleczalnego pesymisty, gdy zaciśnięte usta jego i półprzymknięte oczy zdawały się mówić:

— Świat — to głupia, nędzna tandeta uczuć, pływających po wierzchu jego, jak szumowiny lichego odwaru. Szukasz złota — znajdziesz proch, który smoli twoje palce; chcesz wycisnąć symbol ideału, dobra — pusta bania pęka i rozlatuje się, kalecząc ręce, nogi twoje...

Błyski jego oczów gasły, jak zdmuchnięte pochodnie, jasność i pogoda twarzy ustępowały miejsca cyniczno-sceptycznemu wykrzywieniu warg; zmarszczone brwi i wzrok ponury wyrażały niechęć do życia i niezadowolenie ze świata.

Miewał szalone ataki pesymizmu i zwątpienia, szalone porywy niesmaku dla tego, co wykrzywionemi, pełnemi odrazy wargami nazywał „bytem swoim.“

Nic wtedy rozerwać go, ani uspokoić nie było w stanie: milczał albo drwił każdem słowem, każdem spojrzeniem z otoczenia swego...

Wanda nie rozumiała go nigdy: posiadał dla niej niezbadaną siłę tajemniczości, która nadawała mu cechę mistycznego bohaterstwa i może to właśnie napełniało ją dziecinną trwogą przed nim...

Nie kochając go, bojąc się go i nie rozumiejąc ani trochę, myślała o nim jednak ciągle, bez przerwy.

Rano, wstając ze snu, w którym jak cień mglisty snuł się nad powodzią majaczeń, witała obraz jego smętnym, żalu pełnym uśmiechem. W południe, wieczorem, gdziekolwiek była, ciągle, bez przerwy widziała go przed sobą.

A myśl o nim dziwnie drażniła ją i niepokoiła, w dziwnie przykrą wibracyę wprawiała całą jej istotę.

Czy on sam siłą woli narzucał jej siebie?.. Czy może?..

Nie, stanowczo faktu tego wytłomaczyć sobie nie umiała: stanowił ponurą zagadkę jej życia. Ojciec, matka, brat, znajomi, przyjaciółki, nikt nie przeczuwał, co działo się w jej duszy chwilami, kiedy, rozbawiona na pozór, śmiejąca się, rozrywkom towarzyskim oddana, w głębi uczuć swoich toczyła głuchą walkę z cieniem, który próżno od siebie odpędzić usiłowała.

Wśród najgwarniejszej rozmowy, wśród żartów i dowcipów otoczenia, nagle w fałdach kotary, we framudze drzwi, w cieniu pełznącym po arabeskach dywanu, spostrzegała „jego.“ Halucynacya ta rysowała się przed oczami jej tak wyraźnie, iż, przerażona siłą woli, powstrzymywała okrzyk strachu, cisnący się na usta.

To było okropne. Kto nie doznawał czegoś podobnego, nie mógł jej pojąć; nikomu też, nawet matce, przed którą nie miała tajemnic, nie mówiła o tem.

Maryan prześladował ją całe dwa lata. Przez całe dwa lata spotykała go niemal codzień. Nie było rautu, koncertu, spaceru, gdzieby oko w oko nie zetknęła się z nim.

Podczas przejażdżki w alejach powóz jego mijał się z jej powozem tak, że kilkakrotnie w ciągu godziny Maryan składał jej ukłon. Na koncertach, w cyrku, w teatrze, umyślnie, czy też dziwnym zbiegiem okoliczności, dostawał miejsce zawsze naprost jej loży. W czasie przedsta-

kazał na tem stanowisku skłonności nieco absolutystyczne, którym zawdzięcza przydomek „króla styryjskiego.“ Przytem jest czystej krwi feodałem i członkiem jednej z najstarszych rodzin szlacheckich monarchii. Cechuje to nastrój panujący obecnie u liberałów niemieckich, że nie umieli znaleźć sobie odpowiedniejszego zastępcy w rządzie, jak arystokratę.

Dla scharakteryzowania drugiego ministra polskiego, Madeyskiego wystarczy powiedzieć, że poluje on od lat pięciu na każdą opróżniającą się wyższą posadę i że rozpaczliwe wysiłki, które czynił w ostatnich czasach dla osiągnięcia teki ministeryalnej, przyczyniły się bardzo do rozluźnienia węzłów między hr. Taaffem a Kołem polskiem, a pośrednio do upadku byłego prezesa gabinetu.

O „liberalizmie“ jego może być tylko mowa w znaczeniu względnem, jeśli go się zestawi z drugim kandydatem na ministra oświaty Bobrzyńskim, skrajnym klerykałem i otwartym zwolennikiem szkoły wyznaniowej. Madeyski będzie zresztą cenną siłą w przyszłym gabinecie, gdyż jest wybitnym prawnikiem i doskonałym mówcą.

Najcenniejszą częścią spuścizny, którą książę Windischgrätz obejmuje po swym poprzedniku, jest minister sprawiedliwości hr. Schönborn, człowiek prawego i silnego charakteru, współpracownik koniecznie potrzebny dla rządu, gdyż obznajmiony dokładnie z dotychczasowemi pracami przygotowawczemi dla wielkich reform na polu prawa karnego i procedury cywilnej, które może stanowić będą główną część programu rządowego.

Margrabia Bacquehem będzie jako minister spraw wewnętrznych tem, czem był jako minister handlu: sportsmanem arystokratycznym, trudniącym się polityką. Hr. Falkenhayn i generał Welsersheimb są fachowcami, od których nie można ani wymagać, ani oczekiwać donioślejszego wpływu na przebieg spraw najbliższych.

Habemus papam! Mamy więc gabinet. Jutro prawdopodobnie, a w każdym razie w ciągu tego tygodnia zgromadzi się znów parlament. Aktorowie znajdują się na scenie i czekają podniesienia zasłony. Niebawem rozpocznie się akt drugi owej sztuki o nieznanem dotychczas rozwiązaniu, której treścią ma być wedle ogłoszenia poważna kwestya społeczna, a która dotychczas jest tylko zlepkiem zwykłych intryg teatralnych w stylu Scribe'a i Sardou'a.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie mogąc wierzyć każdej pogłosce o układach rusko - niemieckich w sprawie taryfy celnej, najbezpieczniej nie wierzyć żadnej. Jedna bowiem donosi, że delegaci już przedyskutowali 60 paragrafow i pozostaje im tylko 20, inna twierdzi, że rozebrano już wszystkie i teraz odbywa się drugie ich czytanie, inna zapewnia, że robota jest dopiero w początkach itd. Jeżeli chodzi o domysł, to prawdopodobnie komisya zbliża się już ku końcowi swych prac, gdyż naprzód miała na nie dosyć czasu, a powtóre żadnemu z państw dziś już nie zależy na przewlekaniu sprawy.

Gladstone okazuje taką bezczynność w sferze polityki zagranicznej, że aż zadziwiła wszystkich wiadomość o jego myśli znacznego pomnożenia floty angielskiej. Co prawda, narzuciła mu tę myśl konieczność nieunikniona. Z najrozmaitszych stron zaczęto zdradzać tajemnice marynarki wielko-brytańskiej i wykazywać łokryte lepszymi pozorami jej słabizny. Nie jest już ona ani tak liczną, ani tak silną, jak dawniej i na wypadek starcia znalazłaby się w bardzo rozpaczliwem położeniu, zwłaszcza wobec francuskiej. John Bull zbyt się zaniedbał, zbyt zaufał bezpiecznemu położeniu swego kraju i dawnemu urokowi potęgi morskiej.

W Izbie gmin Gladstone wyraził wielkie zaniepokojenie rządu o skutki tak długo trwającego bezrobocia w kopalniach węgla. Zaproponował on obu stronom na rozjemcę lorda Roseberego; propozycya ta została przyjęta a delegaci pracodawców i robotników wkrótce przedstawią swoje wzajemne pretensye.

Z Tonkinu Francya odebrała zatrważające wieści, które mącą jej wesele: mianowicie miał tam dojrzeć bunt szeroko rozgałęziony i umiejętnie zorganizowany, który da wojskom francuskim dużo zajęcia. Za to Behanzin już zdaje się na łaskę i niełaskę. Wojska jego rozbite, on sam ledwie uchodzi, a uciekając prosi o litość, której nie otrzyma.

Jak przewidywaliśmy, hiszpanie nie mogą podołać trudnościom walki z kabylami. Pod Mellilą odbywają się ciągłe utarczki, nieprowadzące do żadnego rezultatu. Dowódca wyprawy zażądał posiłków, gdyż inaczej nie da sobie rady.

Po co austryacki minister spraw zagranicznych pojechał do Włoch, gdzie spotkał się natychmiast z hr. Brinem i z nim odwiedził króla? Stawiamy to pytanie nie dla tego, ażebyśmy na nie odpowiedzieć mogli, ale żeby zaznaczyć najświeższą zagadkę polityczno-dziennikarską.

Ubogi pęczek nowin dopełnimy kilkoma wiadomościami osobistemi. Były prefekt policyi paryskiej Lozé mianowany został ambasadorem w Wiedniu — skok bardzo duży.

Były poseł serbski w Paryżu Dżordżewicz podczas obiadu w restauracyi uległ zamachowi jakiegoś szewca (?), który go pchnął nożem. Rana ma być niebezpieczną.

Pomimo dość licznych aresztowań, nie wiadomo, czy między uwięzionymi anarchistami jest ten, który rzucił bombę w teatrze barcelońskim.

BADANIA NAUKOWE.

ZASADNICZE PRAWO BIOLOGICZNE.

Prof. R. Arndt, *Biolog. Studien*. I. Das biologische Grundgesetz. Greifswald 1892.

Profesor wszechnicy greifswaldzkiej R. Arndt, znany z wielu prac psychiatrycznych i fizyologicznych, podaje w wiązance rozprawek, noszących ogólną nazwę „Studyów biologicznych“, niektóre interesujące poglądy na objawy procesów życiowych.

Im jakie uogólnienie obejmuje szerszą skalę zjawisk, tem posiada ono większą wartość naukową; im jaka definicya zastosowaną być może do obszerniejszej grupy przejawów podobnych lub należących do jednej kategoryi, tem określenie to uważamy za dokładniejsze i bardziej odpowiadające wymaganiom ścisłej umiejętności.

---

wienia nie spuszczał z niej oczów; po przedstawieniu ostatni przeprowadzał ją wzrokiem do karety, która na nią czekała. Na rautach stawał zawsze niedaleko jej krzesła tak, iż słyszał każde słowo rozmowy, jaką prowadziła.

Jeżeli otaczały ją same kobiety, twarz jego promieniała; myślał widocznie:

— Dobrze, dla mnie, tylko dla mnie dziś jesteś!..

Jeżeli jednak skupiło się dokoła niej grono młodych ludzi, zasypujących ją komplementami i czułemi spojrzeniami, Maryan, wysłuchawszy kilku szablonowych frazesów, odchodził, marszcząc brwi, chmurząc czoło. Po chwili — wracał, lecz dlatego tylko, aby gromić otoczenie całe lekceważącem spojrzeniem.

— Po co tu jestem? — zdawał się pytać sam siebie. Dlaczego jak błazen stoję w szeregu tych wymuskanych dudków, z którymi nic, nic absolutnie mnie nie łączy?..

Oczy jego, które mrużył drwiąco, zapadały wówczas w głąb czoła; źrenice traciły połysk, zachodząc mgłą, jak u człowieka, który cierpi i upokarza się moralnie, a cierpień tych i upokorzeń zwalczyć nie jest w stanie; profil przybierał ostre, szorstkie kontury.

Stawał się wówczas nieprzyjemnym, brzydkim, starym; coś odpychało od niego. Wstrząsał ramionami niecierpliwie, odrzucał w tył głowę; palce jego kurczyły się i rozkurczały nerwowo, szukając przedmiotu, któryby mogły zająć, połamać lub rozszarpać na drobne kawałki, aby ulżyć nurtującej go pasyi.

Nazywano go „arogantem, pesymistą, dziwakiem, impertynentem, odludkiem“; jedni drugim szeptali do ucha, iż cierpi na dziedziczną newrozę, która w całym szeregu przodków jego kończyła się obłędem lub melancholią, nikt jednak nie śmiał zwrócić mu uwagi na niewłaściwe nieraz zachowanie się jego: wzbudzał pewną obawę i nakazywał mimowolnie szacunek dla siebie.

Pierwszy raz zbliżył się do Wandy, nie będąc jej przedstawionym uprzednio.

Było to na jednym z rautów, na którym ona, przyjechawszy wcześniej, niż zwykle, znalazła się sama w oszklonem wgłębieniu salonu, stanowiącem rodzaj oranżeryi.

— Pozwoli pani zająć miejsce, dziś wyjątkowo puste obok siebie? — zagadnął, stając przed nią niespodzianie.

— Miejsce obok mnie wolno zająć każdemu ze... znajomych moich — odpowiedziała tonem głosu, który znaczył:

— Pana nie znam zupełnie.

Odrzucił w tył głowę ze zwykłym nerwowym ruchem, którym odznaczał ironię i zniecierpliwienie; wypuścił z rąk poręcz krzesła, o które oparł się dłonią.

— Julek! — zawołał na przyjaciela swego, Rosowskiego, młodego, szczupłego, blondyna, ulubieńca pań i panów.

— Przedstaw mię pani! — dodał, gdy Rosowski przybiegł na jego wezwanie.

— Maryan Wysocki — zabrzmiał uroczyście głos Rosowskiego.

Maryan złożył ukłon z wyrazem twarzy, który mówił:

— Jesteś błaznem w tej chwili tak samo dobrze, jak ci wszyscy, których wyśmiewasz codzień.

— Dziwak, oryginał, pesymista, odludek: będzie zanudzał panią dzikimi poglądami na świat i ludzi — dodał Julek, usuwając się w głąb sali.

— Czy teraz „znajomemu“ wolno rozmawiać z panią? — zapytał Maryan ironicznie, siadając obok Wandy.

— Proszę — odparła półgłosem.

Słowo to ścisnęło ją w gardle. Obecność Maryana działała na nią podniecająco i przygniatająco zarazem. Dopóki znała go tylko z widzenia, dopóki nie potrzebowała rozmawiać z nim, dopóki na widok jego nie doznawała wrażenia takiego ciężaru w głowie i w oczach, takiej nerwowej gorączki, jak w tej chwili, kiedy usiadł przy niej tak blizko i miał z nią rozmawiać.

— Wyrzucenie czyjegoś nazwiska z gardła bodaj przepitego, bodaj ochrypłego lub krztuszącego się w wiecznej astmie, starczy do otrzymania w salonie tytułu „zna-

Im jaka zależność pomiędzy pewnemi przyczynami działawczemi a ich skutkami jest stalszą, tak w każdym pojedyńczym wypadku akcyi i reakcyi, jak i we wszystkich wogóle objawach działań i oddziaływań należących do jednej kategoryi, tem zależności tej nadajemy większe znaczenie i tem bardziej skłonni jesteśmy do sformułowania jej jako *prawa* naturalnego.

Wychodząc z zasad powyższych, uczony greifswaldzki starał się uogólnić objawy życiowe, dać pewną umiejętną definicyę dla pewnej kategoryi przejawów biologicznych, wyrazić zależność tych ostatnich zjawisk od pewnych przyczyn działawczych przez sformułowanie prawa, które nazwał zasadniczem prawem biologicznem (das biologische Grundgesetz). Zobaczmy, na czem ono polega.

Arndt wychodzi z zasady, że bodźce (Reize) są warunkiem życia; przez bodźce powstaje ono i istnieje, one podtrzymują je i wzmagają, ale mogą także zwalniać bieg, przeszkadzać mu i nawet je niszczyć. Wyraz: bodziec — wzięty jest tu w znaczeniu bardzo szerokiem; nie możemy sobie ani na chwilę wyobrazić życia bez licznych warunków i wpływów zewnętrznych, które bezustannie na nie oddziaływają, wszystkie te tak różnorodne działania świata zewnętrznego na ustrój nazywamy tu bodźcami.

Otóż zasadnicze swe prawo biologiczne Arndt formułuje w sposób następujący: Słabe bodźce podtrzymują i podniecają czynności życiowe, silniejsze, a mianowicie średnio mocne, przyspieszają, wzmagają je, silne hamują, a najsilniejsze zatrzymują całkowicie. Prawda ta nie została po raz pierwszy wypowiedziana przez Arndta, wiedziano o niej i dawniej, niektórzy uczeni nowszych czasów, jak np. Pflüger, wypowiadali ją tu i owdzie; Arndt atoli stawia sobie za cel wykazanie powszechności tej prawdy, zwraca uwagę na to, że zasada owa daje się zastosować do najrozmaitszych kategoryj objawów biologicznych, że tłomaczy nam różne ich dziedziny i dlatego też uczony greifswaldzki uogólnia ją i podnosi do godności zasadniczego *prawa* biologicznego. Same tytuły rozdziałów w jego pracy pokazują, do jak różnorodnych sfer objawów życiowych stosuje on swą regułę: 1) „Organizmy elementarne — i zasadnicze prawo biologiczne". 2) „Czubaty kanarek, gołąb-mewka, gołąb-perukowiec i pawik — i zasadnicze prawo biologiczne". 3) „Sztuka leczenia — i zasadnicze prawo biologiczne". 4) „Stopa płaska i zgrubiała — i zasadnicze prawo biologiczne". 5) „Olbrzymy i karły — i zasadnicze prawo biologiczne". 6) „Barwa czarna i biała u człowieka i zwierzęcia — i zasadnicze prawo biologiczne". 7) „Ciepło zwierzęce, zwłaszcza gorączka febryczna— i zasadnicze prawo biologiczne". 7) „Dusza — i zasadnicze prawo biologiczne". Jak widzimy wielka różnorodność kategoryj!

Autor nie wszędzie przeprowadza swą zasadę udatnie i przekonywająco, ale w największej ilości przypadków prawo, sformułowane przez niego, występuje z całą jasnością. Oto niektóre przykłady.

Temperatura wpływa jako bodziec na ruchy wielu niższych ustrojów, np. bakteryj. Bacterium termo (jedna z najpospolitszych) porusza się bardzo leniwie przy + 16° do 20° C. Z wzrostem temperatury wzmagają się ruchy tego ustroju, najenergiczniejszy przypada na + 35° do 38° C. Gdy zaś temperatura jeszcze bardziej się podnosi, wówczas ruchy słabną, a przy + 40° C zupełnie ustają. Widzimy zatem, że słaby bodziec podtrzymuje pewien proces życiowy (ruch w danym przypadku), silniejszy potęguje go, silny hamuje, a najsilniejszy zupełnie zawiesza. To samo stosuje się do wielu innych, badanych pod tym względem bakteryj (Bacterium lineola, Bacillus subtilis, Spirillum, Spirochaete itd.). Tenże sam bodziec (tj. termiczny) działa w podobny sposób na niektóre inne rodzaje objawów życiowych u bakteryj, np. na proces rozmnażania się. Tak np. bacyle tuberkuliczne rozmnażają się tylko w granicach temperatury od + 28° C. do + 42° C., przy + 37° lub + 38° C. rozmnażanie odbywa się najenergiczniej, powyżej zaś + 42° C. zupełnie ustaje. Widzimy zatem, że słaby bodziec podtrzymuje pewną czynność biologiczną, silniejszy potęguje ją, jeszcze silniejszy hamuje, a wreszcie bardzo znaczny zupełnie zawiesza. Podobne szeregi zjawisk można obserwować także przy działaniu innych bodźców, np. mechanicznych lub chemicznych na pewne czynności, osobliwie zaś na ruchy różnych organizmów jednokomórkowych, wszędzie zaś występuje z mniejszą lub większą wyrazistością zasada prawa biologicznego, sformułowana przez Arndta.

Zwróćmy się z autorem do innej dziedziny, np. do kwestyi działania różnych środków lekarskich na ustrój ludzki, środków, odgrywających rolę bodźców zewnętrznych względem różnych organów lub ich części, na które wywierają one pewien wpływ specyficzny. Arndt stara się wykazać za pomocą wielu przykładów, że i tutaj zachowuje swe znaczenie zasada prawa biologicznego. I tak w bardzo wielu wypadkach mało dozy lekarstw mają zupełnie odwrotne działanie, niż wielkie, na który to fakt, według autora, lekarze zwracają dotychczas niedostateczną uwagę. Tak np. co do ipecacuanhy oddawna jest to wiadomem; przekonano się, że 10 gran tego środka łatwiej sprowadza wymioty, niż 20, a dalej wykazano także, że ipecacuanha w małych dawkach pobudza apetyt, w nieco większych zmniejsza go i wywołuje nawet mdłości, w jeszcze większych sprawia wymioty i działa jako diarhoicum, w bardzo dużych zaś użytą być może jako antidiarhoicum. Sól karlsbadzka w małych dawkach sprawia łatwo zatrzymanie wypróżnień, w bardzo znacznych dopiero je wywołuje. Dalej Arndt przedstawia działanie alkoholu, opium, nikotyny itp. na ustrój ludzki; wszystkie te środki w małych dawkach działają pobudzająco; przy wzrastaniu dawek wzmaga się pobudzenie, gdy jednak dawki powiększają się jeszcze bardziej, hamują one czynności, wywołują senność, a wreszcie paraliżują i mogą działać zabójczo. To, co się tyczy terapii lekarskiej w szczególności, stosuje się także do ogólnych środków terapeutycznych, np. do chirurgicznych, balneoterapeutycznych, hydroterapeutycznych itp. Tak np. słabe naciąganie nerwu pobudza do pewnego stopnia jego czynności odruchowe, mocniejsze — zmniejsza czynność i pobudliwość nerwu, jeszcze mocniejsze zawiesza je czasowo (Valentin), a bardzo wielkie — niszczy je zupełnie. Słabe ciśnienie, wywierane na skórę, pobudza rozrost jej, tj. wzmaga troficzne i plastyczne czynności naskórka i skóry właściwej, wskutek czego skóra grubieje. Silniejsze ciśnienie potęguje tę czynność (grubienie skóry w t. z. odciskach), gdy zaś ciśnienie jeszcze bardziej się wzmaga, wywiera wówczas wprost odwrotny skutek, następuje zanik, atrofia. Jeśli wreszcie ciśnienie wzmaga się bardzo silnie, wówczas tkanki, znajdujące się pod jego wpływem, giną i niszczą się zupełnie

---

jomego." Można, śledząc kogoś czas dłuższy, powiedzieć sobie: „Znam tego człowieka, jak siebie samego." Dopóki ceremoniał chrztu towarzyskiego nie wygłosi tego, co najmniej do rzędu naszych właściwości należy: imienia, które nam dano bez woli i wiedzy naszej, nazwiska, za które, jako za spadek rodzinny, nie odpowiadamy — dopóty nie wolno nam wyciągnąć ręki przyjaźnie do osoby, z którą radzibyśmy mówić bez pośrednictwa osób trzecich...

Oparty o poręcz krzesła, Maryan wolno i dobitnie wygłaszał każde słowo swej przemowy. Oczy jego, w szafirowe oczy Wandy wpatrzone, zdawały się pytać:

— Co ty mi na to powiesz? Czy zgodzisz się ze mną, czy — jak wszystkie twoje rowieśniczki, pstre, salonowe papużki — będziesz broniła praw wielkiego świata?

— Sądzę, iż ustaw towarzyskich nie należy tak bezwzględnie obdzierać ze wszystkich ich paragrafów — odrzekła Wanda przeciągłym akcentem kapryśnego swego głosu, którym zwykle jedne zgłoski wymawiała szybko i niewyraźnie, na innych, bez potrzeby, zatrzymywała się dłużej.

Ręka jej z wachlarzem opadła na kolana. Zmarszczywszy brwi, dodała:

— Kilkadziesiąt osób, zebranych w salonie, stanowi tak samo pewną grupę stowarzyszonych, jak każda inna, oparta na wspólności interesów, którą tu jest zabawa. Jako symbol dorywczego cechu, salon z konieczności musi mieć warunki stałego regulaminu, na mocy których dane jednostki schodzą się i bawią wzajemnie. Gdybyśmy nie byli zmuszeni zachowywać względem siebie pewnych form konieczych, wyniknęłoby stąd to, iż, zamiast wybranego i poszukiwanego koła osób znajomych, miałoby się u siebie pierwszego lepszego wyrobnika, którego przynęciłyby oświetlone okna bawialni.

— Przypisywałem pani stokroć więcej samodzielności w sądzie i więcej zdrowych, nie wciśniętych w powijaki atmosfery salonowej zapatrywań: omyliłem się. Zdanie, przez nią wygłoszone, słyszałem wczoraj z ust panny Milewskiej, która właśnie nadchodzi... Powietrze salonów widocznie zaraźliwe, kiedy zatruwa każdy oddech... Chciałem bronić panią od szkodliwych baccylusów, widzę jednak, iż przyszłoby mi to z trudnością...

— Powietrze, jakiem oddycham, nie męczy płuc moich tak, jak męczą umysł i nudzą go uwagi zarozumiałych arogantów, czy też impertynentów, którym towarzystwo zbyt wiele wybacza— zawołała, wstając z miejsca i drżąc z oburzenia.

Lola Milewska, którą towarzysz rozmowy opuścił dla wypalenia hawańskiego cygara w gabinecie męzkim, weszła w tej chwili do oranżeryi, może dla przekonania obecnych, iż żółta jej suknia odbija od tła palm i paproci, jak najpyszniejsza Maréchal Niel, spowita w pęki zieleni.

Wanda schwyciła ją za rękę gorączkowo.

— Chodźmy, chodźmy stąd! — zawołała. Nudzę się tu szalenie.

Z szelestem jedwabnych spódniczek, ze szmerem składanych i rozkładanych wachlarzy przebiegły obie przez środek salonu.

W pół godziny później rozpoczął się koncert, urządzony przez gospodarstwo dla skrócenia gościom czasu przed kolacyą.

Znudzona rozmową z Lolą, trzepocącą się jak podlotek, Wanda skryła się w głębi pokoju za wielkim marmurowym słupem, aby samotnie i w milczeniu wysłuchać muzyki.

Dziwnie czuła się podrażnioną, zniecierpliwioną, niemal przygnębioną w tej chwili. Tysiąc razy powtarzała sobie:

— Co mię ten dziwak obchodzić może? Nie potrzebuję rozmawiać z nim już nigdy, jeżeli zbliży się do mnie, udam, że go nie znam...

(D. c. n).

C. Walewska.

(decubitus). Albo też inny jeszcze szereg przykładów. Letnia kąpiel działa, *ceateris paribus* (zwłaszcza co do czasu) lekko podniecająco, ciepła — pobudzająco, gorąca — osłabia, a nadmiernie gorąca (np. wrzątek) może nawet śmierć sprowadzić. Podobnie też kąpiel chłodna działa ożywczo, odświeżająco, zimna — silnie pobudza, jeszcze chłodniejsza obniża czynność życiową, a w wodzie o lodowej temperaturze niejeden wrażliwy osobnik znalazł śmierć (naturalnie nie przez utonięcie). Słowem wszędzie działa prawo biologiczne, wszędzie spostrzegamy, że słabe bodźce podtrzymują życie, silniejsze pobudzają i przyspieszają je, jeszcze silniejsze hamują jego procesy, a bardzo mocne — zawieszają je. Możemy to wreszcie zauważyć przy działaniu różnych czynników na duszę ludzką, tak fizycznych, jako też moralnych.

Oto przypatrzmy się np. działaniu alkoholu na stan duszy. Jakkolwiek różne osobniki reagują w rozmaity sposób na alkohol zależnie od swego indywidualizmu fizyologicznego, niemniej przeto zauważyć się dają pewne ogólne właściwości, charakterystyczne dla wszystkich bez wyjątku. To znamienne działanie alkoholu objawią się pod względem psychicznym w sposób następujący. Przy wprowadzeniu niewielkiej dawki tego środka do organizmu, osobnik czuje się nieco podnieconym, ma większą pewność siebie. Przy dalszem wzrastaniu bodźca, tj. przy powiększaniu ilości alkoholu podniecenie wzrasta, osobnik staje się rozdrażnionym, absolutnym, skorym do kłótni i do sporu. Następnie działanie zaczyna przybierać postać wprost odwrotną; przy dalszem bowiem zwiększaniu dozy napoju osobnik traci drażliwość i pewność siebie, zaczyna głupieć, napada go pusty śmiech i wesołość. W dalszym ciągu traci zdolność kojarzenia myśli i samowiedzę, wreszcie ogarnia go sen.

Przyjemna wiadomość, miła nowina w miarę nas podnieca i pobudza. Większa przyjemność wywołuje nadmierną podnietę, człowiek zaczyna się „nie posiadać" z radości. Niezwykle przyjemna wiadomość może podziałać hamująco, możemy od niej oniemieć na chwilę lub osłupieć, a u osobników bardzo wrażliwych może ona nawet spowodować zemdlenie lub śmierć.

To samo z bodźcem wprost przeciwnym. Przykra nieco wiadomość dotyka nas niemile, drażni i pobudza. Przykrzejsza wpływa silniej, wywołuje smutek, łzy, głębiej wstrząsa naszą duszą. Jeszcze smutniejsza może również spowodować osłupienie, przygnębienie duchowe. A wiadomo przecie, że niekiedy bardzo przykre nowiny powodować mogą zemdlenie i nawet śmierć: „Skamieniał ze smutku", „Nie wydał ani dźwięku, łzy nie mógł uronić", „Z rozpaczy padł nieżywy."

Tyle zatem różnych rodzajów działań i oddziaływań, a wszędzie słabe bodźce podniecają, silniejsze więcej pobudzają, jeszcze silniejsze hamują czynności życia, a najpotężniejsze zawieszają je zupełnie.

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN MATEJKO.

(Dokończenie).

Była to dusza tragiczna, której wątłe, nikłe ciało dawno powinno było się ugiąć pod ciężarem tytana, siła Goliata w drobnej powłoce Dawida. Całe niebo zachwytów i grozy wyśpiewywał w swym malowanym psałterzu i stworzył dziwny rodzaj, w którym historya świecka płonie aureolą historyi świętej i kamienną swą mocą odciska w mózgach ślad na zawsze.

Te krocie tragicznych swych uczuć wyrywał z łona i rzucał na płótno. A straszna musiała być ich moc, skoro umiały przetrwać w całej pierwotnej nawałności aż do skończenia obrazu, zajmującego nieraz parę lat. Można jeszcze zrozumieć i jako piękną ale ludzką rzecz uważać *Otrucie Bony* lub *Śmierć Wapowskiego*, gdzie moment rdzenny, osiowy dramatu dopiero ma nastąpić lub nastąpił już, lecz widzowi pokazanym nie został. Tam wielką trudność dla malarza stanowi zestrojenie w jeden akord wielu twarzy, wielu postaci biorących udział w grze, tam musi być zgodność gry również uderzającą jak indywidualizacya postaci, tak, ażeby treść tłumaczyła się łatwo, szybko i nie potrzebowała objaśnień lub łamania głowy, coby już równało się chybionemu ciosowi sztuki. Ale nie wystarcza ten chłodny, umiarkowany podziw wobec innych jego dzieł, gdzie czynnik psychologiczny powinien mieć siłę, łoskot i grozę pioruna. Takich obrazów zwykle artyści nie wytrzymują; tragedyę napomykają w tej lub owej figurze, lub zaczynają dobrze, ale gdy dojdą do końca, okazuje się najczęściej zupełny brak wrażenia, albo niejednostajność natężenia, albo melodramat, albo rozmachanie fizyczne bez głębokiego wtóru duchowego. Tymczasem Matejki *Rejtan* lub *Skarga* mają właśnie tę siłę piorunową, która olśniewa widza i kontuzyonuje umysł i którą musiał nosić w swem wnętrzu tak bajecznie długo!

Innemi słowy, pomysły zuchwałe, rzucające się na widza z drapieżnością i szerokim lotem sępa, wypuszcza on z swej pracowni świeże, niezmęczone nieporonione w połowie bolesnej ciąży, ani zrodzone z uszczuploną zdolnością życia. Można przed *Grunwaldem* wzruszać ramionami, ile się chce, ale niepodobna nie przyznać, że tu starły się potęgi wcielone w bohaterów lub pół bogów. Dziś bataliści malują inaczej, ułatwiają sobie zadanie, tak jak karabiny i armaty ułatwiają walkę, rzucając ją na wielkie przestrzenie i skupiając ludzi w szeregi. Matejko tworzy po dawnemu, splata ze sobą wodzów, książąt i królów, jak się splatają rogami walczące jelenie, ściska ich w sturamiennego potwora, w którym jednak więcej niż ręce, działają oczy, płomienne, groźne, poważne żagwie wytężonego ducha.

Lecz potwór to świetny, jaskrawy i malowniczo odziany; ugina się on pod brzemieniem szkarłatów, purpury i złota, albowiem Matejko traktuje zawsze dramat dekoracyjnie, opromienia dzikie skoki lub srogie wejrzenia tetonów blaskiem bogatej scenery, która sprawia, że nawet to co powinno być szpetnem lub odrażającem, jest pięknem. Tak pojmował sztukę wielki Leonardo, dla którego nawet Judasz traci w ogólnym koncercie obrazu swą ohydę i przyczynia się do szlachetnego powściągliwego piękna całości. Można być pewnym, że Matejko potrafiłby mrozić krew w żyłach nawet jak Wereszczagin i budzić wstręt i zgrozę, ale mu powaga biblijna historyi na to nie pozwalała.

I tę to wzniosłą manię zdobienia i przeduchowiania wszystkiego nazwano u nas „realizmem", jakgdyby rzeczywistość jakakolwiek tyle ducha i tragedyi zawierała, albo jakgdyby dwór jaki, choćby papieżów lub Karola Wielkiego, którym tak dziwnie odbrzmiewają niektóre płótna zgasłego mistrza, był takim stosem skarbów, szat i klejnotów i miał tylu dworzan pięknych, dumnych i wybitnych rysami twarzy. Takim samym płaskim konceptem, mającym wywyższyć zmarłego, jest twierdzenie, że to ostatni malarz historyczny, bo swym stylem uratował rodzaj, nie mający przyszłości. Po co te szmermele podochoconego na stypie dziennikarstwa? On właśnie stworzył nowy rodzaj i zostawił wiekopomną naukę, jak należy malować historyę i dowiódł gwałtowną wymową swego pędzla, że ją malować można: wziął z niej przepych i sławę i wziął, co ważniejsza, tragiczność. Pierwsze mogą być za zimne dla naszej gorącej wyobraźni i rozpalonych nerwów, ale druga jest szczytem każdej sztuki i stała się nim osobliwie w czasach nowych. Ten tygrys królewski, dziś już strupieszały, nie darmo pozwalał komarom i muchom spokojnie kąsać siebie, bo czuł swoją wyższość i siłę. Był to ogrom patosu, wznoszący się chropawą skałą śród mielizn. Jedną potężną swą osobą przeważał nawałę drobnych gustów, przelotnych celów i marnych ambicyjek. Rozumie się, że nikt nie zdoła upodobnić się takiemu mocarzowi namiętności, takiej niebywałej energii, bo ducha ani nauczyć się, ani kupić nawet najdowcipniejszą reklamą nie można. Wielki artysta, którego dusza jest wiecznie gorejącym kotłem, potrafi nawet z błazna zrobić bohatera pięknego; dowodem *Stańczyk*, a ambitny robak nawet piękną modlitwę zaprawi wielkim humbugiem...

Rzecz jasna, iż kto tak hojnie szafuje duchem i namiętnością, nie będzie uprawiał ani motywów rodzajowych ani pejzażów, ale może i musi być wielkim portrecistą. I był nim Matejko. Z jego natury i usposobienia wypływała owa stanowczość, o którą zazwyczaj tak trudno ludziom malującym twarze i głowy. „Scisnąć, wytężyć i razem wyświecić" czyjąś indywidualność albo typ czyjś, pochwycić je w chwili najbardziej zdradzieckiej i znamiennej, oto główne warunki portretu. Bywają wprawdzie i takie, co celują wdziękiem układu i delikatnością roboty, ale Matejko wyobraża kierunek siły i mnóstwo wizerunków jego pędzla to arcydzieła przenikliwej a szorstkiej psychologii. Bywa on w nich dziwnie obok swej historycznej stylowości świeżym, dziwnie mimo upór i zaciętość zapadłego krakowianina— zachodnim, ale zachodnim oczywiście bezwiednie i samoistnie. Proszę wziąć jego profil Bony osobno malowany, albo chytrą twarz Fulkona arcybiskupa gnieźnieńskiego, albo krogulczy profil Jana Olbrachta, albo sto innych: to są tylko spojrzenia, momenty, ruchy prawie impresyonistyczne, jakichby nie powstydził się malarz paryski ze schyłku wieku. Tylko że tej dosadności, przypominającej marmurowe głowy cezarów rzymskich, nowe pokolenie nie zna.

Gdzie takie żywioły rej wiodą — trudno o spokój i harmonię. Matejko, cały na łasce dziko-artystycznego fanatyzmu, nie umiał albo nie chciał swoich skrajności powściągać. Jest on mimo współczesną nadduchowość czemś w rodzaju średniowiecznego mnicha, który w ponurej celi wysiaduje wielkie, przewrotem brzemienne odkrycia i słucha tylko głosu natchnienia. Matejko wpośród jasnych przezroczych umysłów, stanowiących ogół, wygląda tak, jak wyglądałby zczerniały kościół Marjacki, gdyby go przenieść i postawić śród trzeźwych i kształtnych budynków naszych dni, z jego bezkształtem, ponurym i ciężkim z zewnątrz, z jaskrawą i soczystą, żywotną polichromią wewnątrz, z jego starożytnością posępną i po królewsku bogatą. Ma on chwilami podobieństwo do Michała Anioła, gdy ten zawieszony w hamaku u stropu kaplicy sykstyńskiej malował *Sąd ostateczny*. Azaliż *Skarga* to nie *Sybille* i *Prorocy*, pełni znaczących myśli, które tak nie do smaku przypadły papieżowi Julianowi II? Ale większe podobieństwo tkwi w tem, że gdy tamten chciał przelać w kamień pomysły tak gigantyczne, że dłutu całkiem urągały, tak ten pragnął gwałtem przeprzeć materyał malarski, wlać weń wspaniałość dziejów, całe narody i wojska, siłę poe-

zyi, przepych złotogłowiów, wiwatujące okrzyki tryumfów. Jak tamtemu zdarzało się w pracy twórczej rąbnąć młotem za silnie i zepsuć pyszne dzieło, tak ten niecierpliwy, gniewny, zarozumiały i zawzięty malował ostre kontury, twarde cienie, zatracał poczucie perspektywy i powietrza, stłaczał figury w jedno kłębowisko. Nie ulega wątpliwości, że wiele się do tego przyczyniał krótki jego wzrok, ale to pewna, że sama myopia, nierzadka przecie u malarzów, nigdy podobnych i takiego stopnia braków nie pociąga za sobą. Jeden ze światlejszych artystów naszych zapewniał mię, że Matejko z rozmysłu zacierał przedziały między postaciami i z rozmysłu malował ogień matowo lub kazał aniołowi unosić się tak nisko nad głowami ludzkiemi, iż im zagrażał. Miała w tem być intencya lekceważenia wymagań prawdy i pietyzm dla naiwnych kronik, które tak a nie inaczej wyobrażały sobie wydarzenia. Trudno się nam na tę hypotezę zgodzić, bo jest trochę naciągana i zupełnie sprzeczna z dawną metodą mistrza, ale za to pewni jesteśmy, że niedostatków jego i owych dziwactw tak często ośmieszanych — przyczyną główną była dysproporcya jego uczuć; nadmiar żądzy twórczej i gwałtowności zmuszał go do zaniedbywania czynników materyalnych, któremi gardził, a skala pomysłów wprost przewyższała zdolność płótna.

Trudno nie ubolewać nad tem. Jest to wprawdzie bezowocne, jak bezowocną była krytyka za życia mistrza, który widocznie tak a nie inaczej był ukształtowany i wyleźć ze swej skóry nie potrafilby, ale nic nie zmieni faktu, że obraz bez wgłębienia i bryłowatości staje się dziwaczną symboliką. Patrzymy na te Grunwaldy i Dziewice Orleańskie jak na owe wielkie odłamy rzeźb pergamejskich. Co to za arcydzieła byłyby — wołamy — gdyby je uzupełnić! Jeśli osobistość taka jak Matejko stanowi pewną pociechę w tych czasach wygasania i zdrobnienia ideałów, tedy smutnie potrząsnąć chce się głową, że tyle pracy i tyle lat genialnego życia spełzało nieraz bezowocnie, lub przeistaczało się w ciekawy zabytek, w jakąś osobliwość, w pamiątkę po szczególnym malarzu, dającą się pociąć na pyszne, wzniośle głowy. To żałość większa niż, że w życiu swem i w okresie sterowania krakowską szkołą sztuk pięknych bywał zawzięty, ciasny, ograniczony, znęcał się nad niektórymi uczniami, bryzgał błotem na realizm i Gierymskiego. Jakiż wielki talent może się obejść bez żarliwstwa w pewnym kierunku? Podobnież i koloryt łatwo mu wybaczyć, miał jak widzieliśmy siłę bez harmonii. Stąd lokalne tony są u niego potężne ale całość nie stroi się i nieraz olśniewa tylko lub zdumiewa oko, zamiast je zachwycać.

Był czas, kiedy gwiazda Matejki zaczynała blednąć. Przyćmiły ją zorze wschodzącego realizmu i ogromny rozkwit jego późniejszy, którego świadkami jesteśmy dotąd. W powietrzu grzmiało od rac sekciarzy, wypowiadających wojnę malarstwu „idealistycznemu“ i historycznemu. Powołani i dzicy mówili o niem — bez zarumienienia się — że powstało z chęci schlebienia możnym rodom... Rychło jednak apetyt, nienasycony zdawało się, na mieszczańskie smakołyki osłabł. Zrozumiano, że siła, namiętność, bujność i dramat mogą sobie znaleźć dogodną formę wszędzie i wcielać się w różne rodzaje sztuki, bo nie od niej, lecz odwrotnie sztuka od nich zależną jest i im swą wartość zawdzięcza. Wtedy — tak przynajmniej nam się zdaje — pojęto co wart Matejko i oddano mu hołd należny. Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że prawdziwi artyści nigdy czci dla niego nie tracili, nawet gdy należeli do „obozu“ przeciwnego.

I Europa się na nim poznała. W Paryżu spotkało go najwyższe odznaczenie, o jakiem malarz marzyć może, w Niemczech pisano o nim szeroko i z respektem, w Austryi i Wiedniu z uwielbieniem, w Krakowie z czołobitnością.

Bo też w sztuce wszechświatowej stanowi on cyfrę bardzo dużą, a malarstwo nasze bez niego wydałoby się dziwnie ułamkowe i ze względu na olbrzymi jego wpływ — niezrozumiałe. Dwa te tytuły są dosyć wielkie, ażeby mu zapewnić śród obcych i śród swoich nieśmiertelność i przyozdobić pomnikiem chwały ten grób, na który teraz zewsząd padają kwiaty.

Cezary Jelenta.

ZE SCENY I Z ESTRADY.

Jeden ze sprawozdawców, charakteryzując ogólne nasze życie nad stan, wykazuje je również i w dziedzinie muzyki.

„W sferze artyzmu — pisze — życiem nad stan nazwać możemy bezwarunkową tendencyę wielu głosów wznoszenia się do sfery, zbyt dla nich wysokiej. Wskutek tego ogólnego dążenia kontr-alty zniknęły dziś niemal zupełnie z widowni, bo wszystkie chcą przerabiać się na więcej produkcyjne mezzo-soprany.“ Te ostatnie szrubują się uparcie do skali sopranów, jak tego mamy dowód na p. Heller, grającej u nas z powodzeniem rolę Małgosi w *Fauście*, a w Wiedniu — podobno — Fides w *Proroku.*

Krytycy, najkorniej nawet chylący czoło przed jej talentem, albo zamilczeli o wykonaniu takich ustępów, jak arya więzienna w czwartym akcie, jedna z najwyższych w repertuarze sopranowym, albo też dali artystce lekkie napomnienie za nierozwagę w szafowaniu bogatym swym wprawdzie, lecz nie, jak stal, niespożytym materyałem wokalnym. Wysokie nuty w głosie p. Heller brzmią jaskrawo, krzykliwie, nie mają głębokości, pełni i zaokrąglenia średnich oraz niskich tonów, w emisyi ich nie znać wszakże wielkiego wysiłku, co poniekąd usprawiedliwia hazard artystki. Wykonana przez nią ballada o królu Thule należy do najpiękniejszych ustępów operowych, jakie słyszeć było można w tym czasie. Piersiowe nuty drgają tak ciepłą serdeczną wibracyą, że podziwiać należy, skąd artystka, która pół roku temu jeszcze śpiewała chłodno, afektacyjnie, zdobywa się teraz na tyle uczucia.

Sezon koncertowy uświetnił p. Grünfeld, gwiazda fortepianistów. Nie jest to głęboki umysł muzyczny. Dosyć spojrzeć na program wykonanych przez niego utworów, aby dojść do przekonania odrazu, iż artysta nie wkracza w progi świątyni muzyki z namaszczeniem arcykapłana, mającego pobudzić tłumy do cichej, skupionej modlitwy, pełnej czci i ślepego ubóstwienia dla Jehowy dźwięków. Grünfeld chce przedewszystkiem zająć, zabawić tłumy i cel swój osiąga w zupełności. Gra wdzięcznie, przyjemnie. Tak pieścić się z fortepianem, jak on, tak gładzić każdy ton aksamitnem pianissimem, nie wpadając przytem w przesadę, nie umie żaden inny, prócz niego, artysta.

Chopin, Beethoven nie zgodziliby się częstokroć zapewne na traktowanie jego sposobem utworów swoich, nie mogliby mieć jednak żalu do niego, jak się nie ma żalu do pięknej, rozpieszczonej kobiety za to, że nawet w chwilach tragicznych powikłań życiowych, w chwilach smutku i żałoby sili się na uśmiech, pełen wdzięku i kokieteryi, zjednywający jej serca otoczenia.

Znawcy muzyczni kręcili głowami, słuchając pięknego Andante Beethovena, Nokturnu Mozarta i Walca Chopina, wykonanych przez artystę z tą grą efektów, z tem nagłem przejściem od forte do pianissima, gasnącego stopniowo, niby tłumione westchnienie, które zmieniają niejednokrotnie wolę i intencyę kompozytorów, w końcu jednak i oni składali ręce do oklasków, porwani niewymownym wdziękiem koncertanta.

Grünfeld działa na tłumy potęgą lekkiego, barwnego uroku. Słucha go każdy z uśmiechem na ustach, bije mu brawo najzapamiętalszy sceptyk. Świątynia sztuki, do której nas wprowadza, lśni tęczowym kolorytem skrzydeł motylich. Nie spotkamy tu ani tajemniczości, ani grozy, ani fanatycznej ekstazy: modlitwa płynie jasno, pogodnie, ciepła i szczera, jednając pogodą tą i szczerością serca nawet odszczepieńców.

Selika.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Kilka słów o fundacyi Hirscha. — Świeża mogiła. — Zakład Lubomirskiego.

Kiedy przed kilku laty baron Hirsch utworzył 12-to milionową fundacyę dla Galicyi, zdawało się, że kolosalna ta na stosunki tutejsze suma będzie ziarnem, które wkrótce już wyda plon obfity. Pesymiści od początku upatrywali zasadniczy błąd w ustanowieniu centralnego komitetu fundacyi w Wiedniu. Równoczesne jednak utworzenie komitetów wykonawczych we Lwowie i w Krakowie i postawienie na ich czele osób zacnych, gorliwych i stosunki znających, rozchmurzyło czoła i dodało otuchy ludziom, którzy dla dobra sprawy siły i pracę swoją poświęcić chcieli. Tymczasem, jak bywa najczęściej, przewidywania pesymistów sprawdzają się. Pewna część komitetu centralnego, składająca się z żywiołów obcych, wraz z całą niechętną kliką, warczącą na korzyści, które z ofiary ciągnie wyłącznie Galicya, pragnie odebrać fundacyi jej dotychczasowy charakter, a opierając się na jednym z paragrafów statutu, zastrzegającego, iż w razie nieosiągnięcia z niej korzystnych skutków dla Galicyi, ma ona być rozwiązaną, a kapitał użyty na cele żydowskie całej Austryi — paraliżuje wszelkie czynności komitetów wykonawczych, drażni je, wnioski przez nie stawiane odrzuca, inne — bezmyślne — stawia i przeprowadza i t. p. Tempo tego postępowania skracanem bywało przez pierwiastki galicyjskie, w szczególności przez Arnolda Rapoporta i Gniewosza. Kiedy Rapoport, po ustąpieniu byłego prezydenta Furtha, zostać miał prezesem fundacyi, przeciwnicy jego, korzystając z nieprzyjaźni Gniewosza dla kandydata, przeciągnęli pierwszego na swoją stronę; intryganci sprawili, że Hirsch osobiście przybył do Wiednia i agitacyę przeciwko Rapoportowi podjął, czego skutkiem było oddanie krzesła prezydylnego p. Guttmanowi. Obecnie, będąc między sobą, członkowie komitetu centralnego mogą działać według upodobania. Przyznać trzeba, że panowie ci wzięli się do rzeczy dość energicznie. Zaczęli od faktycznego, chociaż nie nominalnego odjęcia wszelkiej inicyatywy komitetom w Krakowie i we Lwowie przedewszystkiem przez ustanowienie inspektora dla szkół ludowych z fundacyi utrzymywanych, którego obowiązkiem jest znosić się bezpośrednio z komitetem centralnym, powtóre zaś przez odmówienie wszelkich stypendyów dla uczniów szkoły rzemieślniczej w Krakowie, wskutek czego szkoła ta urządzona

dla 60-ciu ma dziś 19-tu, w dalszym zaś ciągu prawdopodobnie opróżni się zupełnie. Nadmienić należy, że nie dzieje się to ze względów oszczędnościowych, ponieważ kwota przyrzeczona na utrzymanie szkoły i na stypendya była nadzwyczajnie nizką (10,000 złr., z czego 3,000 na stypendya). Oczywiście wskutek podobnych gwałtów prawie wszyscy członkowie komitetów wykonawczych mandaty swoje złożyli i wątpimy, czy znajdą się ludzie, którzy w tych stosunkach nadal pracować zechcą. A szkoda, bo znamy takich, którzy pracy tej najlepsze siły swoje nieśli w ofierze, poświęcali jej się z zapałem, z miłością i z wiarą, że pracują nienadaremnie. Dzięki ich staraniom, mimo szczupłych funduszów, szkoła rozwijała się znakomicie, zapomogi, hojną a umiejętną dłonią z kasy wsparć czerpane, odpędziły od niejednego straszne widmo nędzy i powstrzymało wielu od drogi występku, którą tak często wskazuje głód i bezsilna rozpacz. Nie przesadzamy, twierdząc, że takich pracowników, jak p. Wilhelm Feldman, sekretarz biura krakowskiego, komitet centralny z łatwością nie znajdzie.

I znowu świeżą usypaliśmy mogiłę. Legł w niej genialny malarz, wielki poeta i zacny człowiek. Jako malarz i poeta będzie nieśmiertelnym, jako człowiek wielkiej szlachetności żyć będzie jeszcze długo w pamięci ludzi, wśród których przebywał. Przy otwarciu szkoły Sztuk Pięknych w r. 1873 Matejko rzekł do młodych malarzy: „Uważajcie mnie panowie za starszego i życzliwego kolegę.“ Kolegą był im też do ostatniej chwili, zajmował się nietylko ich talentami, ale i bytem materyalnym, wspomagając tych, którzy walczyć musieli z biedą. Był założycielem, opiekunem i przez 20 lat prezesem Towarzystwa wzaj. pomocy artystów, potrafił zaskarbić sobie powszechną miłość i serdeczną wdzięczność towarzyszów i uczniów. Przed śmiercią pracował nad obrazem, przeznaczonym dla wystawy lwowskiej, a przedstawiającym „Śluby Jana Kazimierza w katedrze na Wawelu.“ Wszystkie postacie i szczegóły są wykończone. W obrazie brak tylko głów, które jednak może, ze szkicu, znajdującego się w rękach p. Franciszka Smolki, wykończy któryś z uczniów Matejki.

Dnia 5 listopada odbyło się tu otwarcie zakładu dla osieroconych chłopców z fundacyi ś. p. Aleksandra Lubomirskiego. Wiceprezydent rady szkolnej, p. Bobrzyński, podniósł w przemowie swojej cele i zadanie zakładu, zaznaczając, że władze, podjąwszy ofiarę fundatora, starały się uwzględnić przedewszystkiem trzy warunki, tj. aby budowla była pomnikową, aby młodzież wychowywana była po katolicku i aby prowadzenie instytucyi odpowiadało praktycznym zadaniom życia. W obecnej chwili zakład posiada 20 wychowańców; liczba ta wzrastać będzie w miarę otwierania klas wyższych. Instytucya imienia Lubomirskiego ma być internatem wychowawczym dla ubogich sierot i pozostawać w bezpośrednim związku z tutejszemi szkołami przemsłowemi (niższą i wyższą).

Ferropar.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XX.

21 sierpnia, Chicago, city.

Obczyzna amerykańska dziwnie oddziaływa na wychodźców. Wraz z ziemią ojczystą przybysz pozostawia po za sobą w rodzinnym kraju szacunek przed opinią publiczną oraz wszelką moralność. Do Ameryki zjechał uciułać majątek, oto jedyny cel i wyłączne zadanie! Miejscowy robigrosz, który przyszedł na świat na amerykańskiej ziemi, i jest z tym lub owym związany stosunkami krewniactwa, przyjaźni lub znajomości, jeszcze czuje jakiś więzy, jeszcze coś go krępuje i ubezwładnia w jego żądzy, ale przybysz, kiedy przejechał Atlantyk, tem samem popalił za sobą wszystkie mosty. Jego całem jestestwem wstrząsa jedynie wilczy apetyt zrobienia majątku, wszelkie drogi są godziwe, jeżeli wiodą do tego celu. Uczciwość wykreśla on ze słownika, zna tylko „rozum,“ naturalny ów rozum geszefciarski, umiejący centa przelać na dolara.

Polonia amerykańska dostarcza w tej mierze wdzięcznego, chociaż aż nazbyt smutnego pola do studyów. Nasz rodak za morzem doznaje przygód, na których spis potrzebowałbym przysłowiowej skóry wołowej. Dawni obywatele ziemscy pracują jako wyrobnicy, hrabiowie służą za lokajów, żony zaś ich stoją za szynkwasem. Natomiast z prostych chłopów wychodzą senatorzy, a jeszcze częściej ludzie bardzo pokaźnej fortuny. Naturalnie ta plutokracya, która z niczego dorobiła się majątku, rej wodzi i kreśli zasady kodeksu moralnego. Rodak, przybywający ze „starego kraju,“ chętnie daje posłuch tym ludziom, których szanuje za to, że z nędzy wydobyli się na wierzch, a nadto widzi w nich kość z swej kości włościańskiej, krew ze swojej krwi. Kto chce poznać, jak wygląda rodzimy włościański „kułak,“ niechaj udaje się za morze! Spekulował on na ziemi i okpiwał ukochanych ziomków, sprzedawał bilety okrętowe, jest naganiaczem polskiej trzody głosującej do sieci amerykańskich „politykantów“ — tak tłomaczą termin *politicians*; trudnił się pokątnem doradztwem, wreszcie był „salonistą,“ t. j. szynkarzem, poił rodaków. Salonista i sprzedawca „lotów“ wraz z przyjacielem księdzem są panami Polonii. Oni są głowami komitetów i rad, właścicielami dzienników. Felczer, tytułujący się doktorem, aptekarz z podejrzanym patentem stanowią przyboczną świtę tych możnowładców. A wszyscy trzymają się solidarnie i każdego krytyka okrzykują za zdrajcę ojczyzny, którą ciągle mają na języku. Wyszukują kopalni złota, aby oskubać rodaków, zakładają kolonie... A nauki praktycznej moralności, przez nich szerzone, wżerają się do serc napływającej rzeszy. Podłości stają się cnotami, a po drodze zmieniły swoją nazwę chrzestną. Oszustwo jest tylko spekulacyą i oszust — mówimy o kilku wypadkach zpośród tutejszych śmietanki — dzisiaj wypuszczony z więzienia, na pewne może do każdego wyciągnąć dłoń, zwłaszcza jeśli w nieszczęściu złożył dowody „rozumu.“

A etyka taka panuje nietylko pomiędzy polakami. Istnieje ona i u innych przybyszów. Dopiero w jakiemś trzeciem i czwartem pokoleniu, kiedy potomek zrośnie się ze społeczeństwem poczyna tracić swoje jaskrawe barwy, ale niezupełnie — wycisnęła bowiem piętno na kulturze amerykańskiej, bezwstyd reklamy, podejścia geszeftu pochodzą w znacznym stopniu z tego źródła.

23 sierpnia Chicago, city.

Skwar popołudniowy dopieka a najmniejszy wietrzyk go nie łagodzi. Z przeciwległej oficyny leniwo wlewają się do mego pokoju dźwięki skrzypiec, wygrywających znane, swojskie melodye — tam mieszka garstka amerykanów „polskiego wyznania,“ która przy święcie traktuje siebie nawzajem piwem i skraca czas śpiewem. Teraz nucą zbiorowo jakąś piosnkę, wykpiwającą stosunki amerykańskie, co zdarza się wśród naszych rodaków rzadko. W oczach tłumu Ameryka uchodzi za raj i gotów on szydercy za nową swoją ojczyznę wydrapać oczy... Zwrotki kończą się ironicznym dwuwierszem:

Bo to Ameryka,
To śliczny, wolny kraj!

Obecnie śpiewana zwrotka utyskuje na ostrość praw amerykańskich, kiedy chodzi o dziewczynę. Dusza męzka wybucha żalem na krzywdy, jakich doznaje za morzem. Zaiste, wolny i śliczny kraj nie zna w tej mierze swawoli, bo

...Pożartuj z panną raz
I w biały jasny dzień,
To choćby piorun trzasł
Już się z nią bratku żeń!
Bo sprawiedliwy sąd
Nie pyta ktoś i skąd,
Czyś rad jej czyś nie rad,
Żeń się z poza krat!..

Ostatnie „z poza krat“ wybucha z mocą, lecz ginie niebawem w chórze

Bo to Ameryka,
To śliczny wolny kraj!

Następnie piosnka wykpiwa inne zwyczaje zamorskie. Europejczycy, z którymi się spotykam, niemal wyłącznie mężczyźni, z przekąsem odzywają się o barbarzyństwie, z jakiem prawodawstwo Nowego Świata występuje przeciwko grzeszącym Adamom. Dowodzą, że mężczyzna został oddany na pastwę kobiety, że wszystkim prawom przyrody ludzkiej, tj, męzkiej, zadano gwałt najbrutalniejszy. Kodeks bowiem postawił tamę swawoli męzkiej bo ta pełna dziurawych chodników i śmieci na ulicach Ameryka posiada wiele doskonałych zwyczajów i wyznaje nader zdrowe zasady w sprawie między mężczyzną i kobietą.

Swoboda stosunków towarzyskich pomiędzy płciami jest nad wyraz wielką. Żadne pęta jej nie krępują. Ameryka nie zna owej cieplarnianej hodowli, wśród której wyrasta dziewczę w Europie. W szkołach, od elementarnej aż do uniwersytetu, dziewczyna siedzi z chłopcem na wspólnej ławce. Pożycie jest na wskroś koleżeńskie, a nie ustaje nawet wtedy, gdy wystąpią oni na szerszą arenę. Podczas wiosnnej i letniej pory rzeczą codzienną są zbiorowe wycieczki — majówki — młodzieży obojga płci, a nikt ze starszych, żadna ciocia, ani mama, nie mącą wesołości, którą pojmować przestały. Z takiej zabawy dziewczęta wracają o północy i później. Panienka z młodym mężczyzną chodzi do teatru, wstępuje potem na lody, dziewczę wraca do domu bardzo późno — niekiedy ojciec, rozzłoszczony, że go budzą, zamyka drzwi na klucz i nie wpuszcza córki do domu. Składa ona wizyty przyjaciołom płci męzkiej w różnych porach, sama wyjeżdża do innego miasta na wycieczkę. Posiada i inne swobody. Prawo przepisuje wiek, zwykle 16—17 lat, odkąd dziewczyna bez wiedzy rodziców może zawrzeć związki małżeńskie. A zapowiedzi są nieznane, jedynie pan młody składa przysięgę, że narzeczona wyszła już z pod opieki ojcowskiej.

Słowem, dziewczę ma wszelką możliwą wolność i z niej korzysta — w wieku, kiedy krew najsilniej się burzy w młodym organizmie. Naturalnie, w takich warunkach trudno spodziewać się, aby młoda natura utrzymała się w granicach ostrożności. Trzebaby być niezmiernie naiwnym, aby w to wierzyć. Raczej należy przypuszczać, że nieostrożność jest tu zasadą. Wie o tem ogół społeczny, a zostawiwszy dziewczynie swobodę, pospiesza jej z pomocą, gdy zaplątała się ona w sieci nieopatrznej namiętności — mądrzejszy a przedewszystkiem uczciwszy, niż zastęp Don Juanów, występujących pod płaszczykiem radykalizmu, którzy wykpiwają przesądy „towarzyszek,“ ale nigdy nie postawią uzupełniającego żądania — opieki prawa nad młodą matką, której twarzyczka po kilku miesiącach zobojętniała apostołowi wolnej miłości. Otóż społeczeństwo amerykańskie toleruje swobodę ze świadomością natury młodego pokolenia i losu dziewczyny, jeżeli mężczyzna bezczelnie będzie

nadużywał przywileju a później porzuci przyjaciółkę z niemowlęciem, nie troszcząc się o wychowanie wspólnego dziecka. Rozumie się, prawo występuje z pomocą dopiero wtedy, kiedy dziewczyna jej zażąda. Wtedy sprawa jest prostą, aż nadto prostą, mało poetyczną i idealną, ale za to nader praktyczną. Dziewczyna u sędziego wyjmuje tak zwany *warrant* i na mocy tego dokumentu pakuje chłopca do kozy, z której wypuszczony za kaucyą oczekuje sądu. Liściki ze zbyt pieszczotliwymi wyrazami a przedewszystkiem z obietnicami potępiają mężczyznę, grożą mu grzywną, ale jeszcze nie małżeństwem; zresztą sądy są względne i okup nakładają tylko wtedy, kiedy widzą, iż oskarżony z góry działał w złej wierze; uczucie szczerze obumarłe, uniewinniają. Ale obrót sprawy bywa zgoła inny, jeżeli dziewczyna zostanie uwiedzioną. W tym razie dostatecznym dowodem jest jej przysięga oraz świadectwo znajomych. Sąd wydaje powódce *warrant*, na podstawie którego wsadza ona przeniewiercę do kozy i trzyma dopóty, póki ten nie zawrze ślubu. „Żeń się z poza krat“! Zresztą losy jego zależą od niej: może ona wypuścić go i w inny sposób załagodzić sprawę. Nawet nierządnica, która sprzedawała swoje wdzięki za pieniądze, a została matką, może sądownie zmusić mężczyznę do troski o dziecko. Że brała pieniądze, okoliczność ta nie znosi praw dziecka do ojca, przysięga zaś matki wraz z dowodem wizyty w oznaczonym czasie oskarżonego mężczyzny wystarczają; oskarżonemu pozostaje jedyna droga wyjścia, mianowicie wykazać naówczas swoje *alibi*. W stanie New York mężczyzna, który żył nieślubnie z kobietą i po pewnym czasie porzucił ją, musi starać się mimo to u sądu o formalny rozwód, jeżeli towarzyszka jego nie zgadza się dobrowolnie na rozejście. Wobec takiej swobody i opieki prawodawczej ślub nie rozpoczyna pożycia małżeńskiego, jedynie je reguluje, utrwala i uprawnia. Muszą też być liczne wypadki, w których małżonkowie rozłączają się zgodnie przed tym aktem legalizacyi.

Owe warranty, śluby w „kozie“ (wyraz amerykańsko-polski, angielskie *court*), trzymanie chłopca za kratą, wszystko to może śmiesznem się wyda niejednemu, zapatrzonemu w dalekie widnokręgi wymarzonej przyszłości. Ale teguczesna rzeczywistość ma swoje wymagania. Te dziwaczne środki są koniecznością, póki społeczeństwo nie uzna, że powinno ono rozszerzyć swoją opiekę i dać utrzymanie każdej matce, jak i każdemu inwalidowi pracy. Swoboda — rzecz piękna, ale w dzisiejszej chwili, kiedy rodzice osobistym wysiłkiem utrzymują dziecko, bez warrantów doprowadziłaby do wyzysku kobiety przez mężczyznę, zwłaszcza że ona zwykle odznacza się naiwnością i większą szczerością uczucia, on raczej cynizmem i brakiem wrodzonego instynktu ojcowskiego. A matka dla społeczeństwa jest postacią ważniejszą, niż swoboda mężczyzny! Zresztą warranty i śluby w kozie wyglądają mniej strasznie, kiedy uwzględnimy łatwość rozwodu. Lecz o tem kiedyindziej.

L. K.

PAMIĘTNIK.

Cyganie.

W operach, powieściach, dramatach, obrazach wyglądają ci koczownicy bardzo poetycznie i niejeden artysta pragnąłby ich zachować na wieki wieków. Ich obozowiska, śniade twarze, czarne długie włosy, płomieniste oczy, złoto-barwne przybranie, wróżby, no i niezłomne cnoty niewieście, które się opierają nawet Don Juanom—wszystko to przedstawia bardzo wdzięczny materyał dla sztuki, ale — nie dla gospodarstwa społecznego. Mamy zbyt wielu rodzimych rzezimieszków i koniokradów, ażebyśmy mogli jeszcze pragnąć lub tolerować obcych. Cyganie zaś — to przedewszystkiem złodzieje. Kto nie widział ich najazdów, ten nie może mieć o nich wyobrażenia. Ludność wiejska, zoczywszy ich z daleka, kryje wszystko, co ukryć można, jak przed zbliżeniem się tatarów: kobiety zwołują kury, kaczki i gęsi, mężczyzni zapędzają do chlewów i obór trzodę i bydło, a nadewszystko pilnują koni. Dopóki cyganie nie opuszczą swego popasu, cała okolica czuwa dniem i nocą nad swym dobytkiem. Często jednak najściślejsze ostrożności nie zapobiegają grabieży, w której oni posiadają talenty kuglarzów i magików. Zdaje się na pozór, że nic nie zginęło, że tylko cyganka wywróżyła coś dziewczynie lub chłopcu. Dopiero gdy odeszła, okazuje się brak kilku kur, chustki, motka przędzy, woreczka mąki, pary butów itd. Nie ma wsi, któraby tym sposobem nie zapłaciła haraczu bandzie cyganów. Ponieważ są to ludzie, niezajmujący się absolutnie żadną pracą i żyjący wyłącznie z kradzieży, jest to więc dotychczas niewytłomaczoną zagadką, dlaczego oni w swych wędrówkach używają dziwnej tolerancyi? Gdyby ludność miejscowa jakiegokolwiek kraju utworzyła podobną hordę i zechciała, przechodząc od wsi do wsi, obozować w lasach i okradać okolicę, rozpędzonoby ją natychmiast lub osadzono w więzieniach. Tymczasem cyganów nikt nie prześladuje, co najwyżej złapanych na kradzieży obiją poszkodowani i puszczą swobodnie. Można się było spodziewać, że prędzej czy później utracą oni ten szczególny przywilej, który w nich podtrzymywał demoralizacyę, a społeczeństwu przynosił wielkie szkody. Otóż—jak donoszą gazety ruskie—pod obrady sfer prawodawczych wszedł projekt, tamujący wędrówki cyganów i grożący im dość surowemi karami za nadużycia. Sentymentalizm malarsko-powieściowy przyjmie tę nowinę zapewne ze smutkiem, ale gospodarze wiejscy, a zwłaszcza chłopi — z prawdziwą radością. Może bowiem jakieś prawo zabezpieczy ich od tej zadawnionej plagi, trapiącej ludzi ciężkiej pracy nie wiadomo po co i za co — poprostu dlatego, że bandom próżniaków chce się żyć z kradzieży.

Zmęczeni.

Byłoby wysoce niehygienicznem, a nawet groźnem, gdyby teraz zechciała przybyć do nas jakaś „gwiazda,“ któraby nas znowu wprawiła w stan teatralno-koncertowego sabeizmu. Wszelkie bowiem zachwyty i ekstazy męczą, wyczerpują energię nerwową i długo trwając, mogą wywołać poważne zaburzenia w zdrowiu. Niedawno zaś opuściła nas Mira Heller, dla której zużyliśmy już chyba ostatnie zapasy części mowy, służących do wyrażenia pochwały. Ta praca — a niewątpliwie jest to ciężka praca — zmęczyła głównie dwie kategorye ludzi: autorów sprawozdań operowych i ich czytelników, którzy rzetelnie zasłużyli na wypoczynek. Panna Heller ma niewątpliwie głos ładny i miły, ale daleko mniej nas zadziwia, niż talent jej dziennikarskich wielbicieli. Napisać prawie codzień przez kilka tygodni pokaźny szereg frazesów, wysławiających śpiewaczkę, wynaleźć dla niej tyleż nowych rzeczowników i przymiotników entuzyazmu lub ułożyć je w nowe kombinacye, powtarzać ciągle to samo a nie tak samo — to może wydobyć rzęsisty pot na myślące czoło. Kto nie wierzy, niech spróbuje. Weźcie kilka pojęć i wrażeń: głos świeży, czysty, dość duży, dość wyrobiony, umiejętność śpiewania i zdolność gry scenicznej — weźcie tę odrobinę i uprzędźcie z niej dwadzieścia panegiryków, a zobaczycie, że po trzecim lub czwartym będziecie krzyczeć: wolę utłuc pryzmę kamieni na szosie. My również wolimy i dlatego tak podnosimy zasługę Herkulesów frazesu, dlatego wołamy: gwiazdy, wstrzymajcie swój pochód ku nam i pozwólcie naszym sprawozdawcom operowym odpocząć.

Kalendarze.

Gdybyśmy obecną definicyę kalendarza porównali z dawną, dostrzeglibyśmy olbrzymią między niemi różnicę. Stary kalendarz był książką gospodarczą, zawierającą rady i objaśnienia praktyczne; obecny jest furą ogłoszeń, na którą wrzucono wiązkę literackiego badyla, choć w niem nieraz spotkać można jakąś szlachetniejszą roślinkę. Do czego te fabrykaty służą po za celami spekulacyi — odgadnąć trudno. Stosunkowo najbogatsze pod tym względem są roczniki Ungra i *Wieku*. Prawdziwy grad kalendarzów spada na nas corocznie z chmur humoru. Przetłomaczone są w nich i przerysowane wszystkie koncepty i dowcipy z *Fliegende Blätter* (ach, coby nasz humor zrobił bez tego szanownego źródła!), *Figara*, *Journal amusant* i innych, tu i owdzie zaś wetknięto figliki własne. Ostatni w tym gradzie ogłoszeniowo-humorystycznym spadł kalendarz *Kuryera świątecznego*. Posiada on wiele zalet, stawiających go ponad towarzyszami, jest może najoryginalniejszy, tylko nieszczęśliwa dama z kokiem, przebitym dużą szpilką, F. Kostrzewskiego, z którą ołówek tego artysty nie chce wziąć rozwodu pomimo wielokrotnych przemian gatunków mody niewieściej, ta emerytka dodaje do kielicha wesołości zbyt wiele zapachu starej „myszki.“ Wracając do ogólnej kwestyi kalendarzowej, sądzimy, że spekulacya wydawnicza, jeżeli już chce koniecznie „robić w tym interesie,“ powinna dla niego obmyśleć formę inną, pożyteczniejszą, powiemy nawet — sumienniejszą. W dotychczasowej bowiem kryje się dość często nierzetelność. Tak np. przed kilku laty spotkaliśmy wóz naładowany pewnym kalendarzem, sprzedanym na makulaturę, podczas gdy kupcy, od których wzięto ogromną ilość ogłoszeń i którzy za nie zapłacili poważne sumy, byli upewnieni, że wielotysięczny nakład owego kalendarza zostaje całkowicie rozchwytanym, a on zapewne rozszedł się w 500 egzemplarzach. Ale nawet przy zupełnej sumienności, dla kogo potrzebna może być książka, zawierająca kilka powiastek i poczyck, garść informacyj i stóg ogłoszeń? Doprawdy trudno odgadnąć i dlatego wątpliwem jest bardzo, czy kalendarze wogóle znajdują licznych nabywców, a nawet czy wydawcy życzą ich sobie, sprzedając książkę niżej kosztów papieru i druku, a więc obniżając sobie dochód z ogłoszeń. Wiadomo, że dzienniki zagraniczne tanie a zapchane inseratami (np. *N. fr. Presse*) tracą na przyroście abonentów, gdyż każdemu nowemu prenumeratorowi muszą dawać numer, który je więcej kosztuje, niż one dostają; dla takich gazet najlepszym interesem byłby jeden abonent, naturalnie przy wielkiej ilości ogłoszeń. Otóż w podobnem położeniu znajdują się niektórzy wydawcy kalendarzów i to szczególnie ci, którzy zebrali bardzo dużo inseratów. Rzecz naturalna, że tu kupcy złapani są na wędkę, której ani się domyślają.

Czy jakiś umiejętnie zredagowany rocznik, bez świeżych i stęchłych konfitur literackich, wypełniony tylko wszechstronnemi i dokładnemi informacyami, miałby u nas powodzenie? Niewątpliwie. Kto nie potrzebuje książki, któraby go objaśniła: gdzie mieszka adwokat lub lekarz, jakiej należy użyć marki stemplowej, kiedy przypadają terminy podatków, jakie ulgi służą popisowym, jak się wyjednywa świadectwo na prawo polowania itd. itd. Niektóre z tych wskazówek znaleźć można w dotychczasowych kalendarzach, w których jednak obok cząstkowości są zbyt często

błędy. Rozumie się, że takiego zbiornika wiadomości pożytecznych nie stworzy jakiś pojedynczy spekulant albo reporter, który postanowił „spróbować tej ruletki“; na to trzeba sił zbiorowych i dobrze zorganizowanych. Może się znajdą, zwłaszcza gdy... kupcy przestaną dostarczać kalendarzom ogłoszeń.

Choroby zawodowe.

Jakże olbrzymie i liczne są te dziedziny życia, które nas z blizka otaczają, a o których często nie mamy najsłabszego pojęcia! Ilu z was, czytelnicy, wie np. o tych ofiarach pracy zawodowej, które giną codzień bez ratunku i bez skargi? Dr. Józef Czajkowski, lekarz Towarzystwa kopalń i zakładów hutniczych sosnowickich, zużytkował swoje doświadczenia i obserwacye w *Zdrowiu*, gdzie zamieścił pouczający artykuł o hutnictwie cynkowem i jego wpływie na powstawanie chorób zawodowych. Opisawszy szczegółowo samą fabrykacyę i warunki, w jakich przy niej znajdować się muszą robotnicy, autor statystycznie i lekarsko wykazuje choroby połączone z tą pracą, a zwłaszcza obszerniej wyjaśnia ostre i przewlekłe zatrucie cynkiem. Wobec tych wywodów, wobec obfitego i nader wymownego materyału nie możemy pojąć, skąd się wzięła następująca uwaga w rozprawie dr. Cz.: „Mówiąc, że w powietrzu hut cynkowych można zawsze wykazać cynk, a u robotników choroby cynkowe, zupełnie nie mieliśmy zamiaru przesądzać (?) kwestyi i rozstrzygać jej w tem znaczeniu, jakoby rozmaite ostre i przewlekłe cierpienia, właściwe robotnikom zakładów cynkowych, miały zależyć jedynie od chorobotwórczego działania cynku; przeciwnie, fakty wręcz sprzeciwiają się temu założeniu.“ Tymczasem owe przytoczone przez autora fakty potwierdzają to założenie. Jeżeli według doświadczeń Hirta kilkogodzinne wdychanie pary cynkowej wywołuje febrę cynkową, jeżeli — według dr. Cz. — półgodzinne przebywanie na placu huty pozwala zrozumieć, dlaczego „robotnicy kaszlą i plują bezustannie“; jeżeli pewne choroby odnawiają się w nich po powrocie do pracy, a ustępują po przerwaniu jej itd. — to cegóż jeszcze autor wymaga, ażeby się przekonać, że „rozmaite ostre i przewlekłe cierpienia zależą jedynie od chorobotwórczego działania cynku“? Zdaje nam się, że go uwiodła jakaś zbyteczna ostrożność.

Dobry podręcznik.

Dobry podręcznik naukowy ma nieraz wartość instytucyi społecznej: on bowiem daje wiedzę całym pokoleniom, staje się wtedy długowiecznym nauczycielem, któremu tysiące ludzi zawdzięczają swe ukształcenie w pewnej dziedzinie umiejętności. Pomyślmy, ilu nauczył historyi Popliński, fizyki — Ganot, gramatyki polskiej — Małecki? W wielu przedmiotach nie posiadamy dotychczas dobrych podręczników. Tak np. jeżeli młodzież nie lubi i nigdy nie umie botaniki, która powinna ją zainteresować, to jest niewątpliwie winą książek, używanych do wykładu — suchych, martwych, nudnych. Zdaje się, że przeznaczeniu swemu odpowie świeżo wydany *Podręcznik zoologii* dr. J. Nussbauma. Autor odwrócił zwyczajny układ szeregu grup zwierzęcych, tj. rozpoczął od ustrojów najniższych a skończył na najwyższych. Ostatni rozdział poświęcony został ogólnym uwagom biologicznym, a przy innych umieszczone wskazówki pedagogiczne. Stanowisko autora, docenta uniwersytetu lwowskiego, znanego z wielu prac badawczych, poręcza naukową stronę książki; pozostaje tylko do wypróbowania jej strona praktyczna.

Nowe maniactwo.

Przed kilkunastu laty zdawało się, iż raz na zawsze pochowano w grobie niepamięci przesądy i wybryki szlacheczczyzny, w tej liczbie dziecinny popis godłami i przydomkami herbowymi. Nie herbem, lecz pracą mierzono wartość ludzką i nie w przydomku, ale w własnej zasłudze szukano środków wybicia się na wierzch. A jeżeli tu i owdzie działo się inaczej, zmora naiwnej dumy nie chodziła przecież z odsłoniętem obliczem, lecz kryła się tchórzliwie i nieśmiało w zaułkach prywatnego, towarzyskiego życia. Widmo głupoty nie obumarło jednak i czekało tylko przyjaznej sposobności, aby znowu wystąpić. Skradało się cicho i wolno. Jakaś artystka bez talentu przyozdobiała swoje nazwisko wywleczonym z pergaminów przydomkiem, mniemając naiwnie, że tym strojem podniesie swe uzdolnienie. To znowu jakiś historyczny *mattoida*, który przebojem chciał zdobyć sławę na polu dziennikarskiem, przypominał sobie, że przodkowie jego pieczętowali się pewnym klejnotem, więc rozszerzonem nazwiskiem podpisywał skleconą tandetę literacką. Żywo jeszcze stoi nam w pamięci pewien rozczochrany młodzieniec, który nie skończywszy szkół, przybył do Warszawy pouczać współziomków mądrości, jedyną zaś jego oryginalnością było używanie długiego przydomku. Swego czasu *Ziarno*, to gniazdo niedołęztwa, było rozsadnikiem owych przydomków. Początki zatem były nader marne. Kto chciał wywyższyć się, a nie miał po temu własnych sił, sięgał do zbutwiałych godeł. W takiem towarzystwie stary upiór wkraczał do społeczeństwa w towarzystwie zbyt lichem, aby ktoś dojrzał w niem coś więcej, niż dziecińswo bezrozumne.

Dziś już dzieje się trochę inaczej. Przydomkomania, dość skromna w kraju, rozpiera się szeroko po za jego granicami. Ludzie, którzy w domu ani pomyśleli o niej, na obczyznie uważają za najpierwszą powinność przydać sobie jakiegoś Korwina, Topora, Nałęcza lub coś podobnego. Ktoś w kraju zwał się poprostu Zagrodzkim, podczas kilkumiesięcznego pobytu za granicą jest już Szreniawą-Zagrodzkim i niby paw usiłuje tem piórkiem oślepić cudzą naiwność. A nie sądźcie, aby tylko zwykłe zera rwały się do tego popisu. Znamy profesorów uniwersytetu, (np. lwowskiego), którzy przypinają sobie różnych Habdanków — niechaj hołota wie, kto ją kształci! Co więcej, młodzież, ucząca się w wszechnicach zagranicznych, zaczyna pono masowo ulegać tej samej manii.

Czy ta zaraza moralna wróży zmartwychwstanie starych mar? Nie. Przedewszystkiem przeszłość szlachecka pierwsza wyrzekłaby się zdechlactwa przydomkowego. Miała ona swoje wady, ale miała też zalety, miała siłę moralną. Dzisiejsze zaś wybryki to nie głos uprzywilejowanej i zdrowej przeszłości, lecz objaw bezsiły i głupoty. Jak na polu literackiem nicość wydobyła przydomki, podobnie taka sama nicość stroi się w nie i na innej niwie. Nie dlatego zatrważającym jest wzrost owej manii, że wskrzesza przeszłość, bynajmniej, ale dlatego, że świadczy, iż rozwój społeczny zaczyna u nas na wielką skalę produkować miernotę, że przed człowiekiem nie stawia innych celów, prócz zdechlaczego popisu zasługami dalekiej epoki. *L.*

Wystawa skórzana.

Nie pamiętamy, ile razy termin urządzenia i otwarcia tej wystawy był odkładany. To tylko wiadomo, że przyczyną kilkakrotnej zwłoki była zawzięta obojętność kandydatów do popisu na wołanie organizatorów. Nareszcie udało się ją otworzyć 29 z. m. w lokalu Muzeum rzemieślniczego. Wystawa rozpada się na dwa działy: pierwszy obejmuje wyłącznie skóry i wyroby skórzane, drugi — dekoracyjno-tapicerskie. Liczba wszystkich wystawców nawet setki nie sięga, ale i w tej garstce drobni wytwórcy, o których popis zarządowi Muzeum głównie chodziło, otrzymali szary kącik, wybitne zaś miejsce zajęli wielcy przemysłowcy, przeważnie garbarze. Sam ten fakt jest sarkazmem, pomimowoli wypływającym z zabiegów owej grupy działaczów, którzy ożywieni sporym zasobem dobrych chęci, usiłują pchnąć drobiazg do współzawodnictwa z olbrzymem. Ten jednak drobiazg bądź świadomie, uznał swą bezsilność i nie chce się mierzyć z potężnym współzawodnikiem, bądź też poddaje się błogiemu odrętwieniu i zanikowi wraz z utratą samowiedzy, któraby pobudziła do czynu, jeżeli nie na drodze postępu i rozwoju, to przynajmniej zatrzymania przez dłuższy czas obecnych placówek. Prowincya i Cesarstwo mają dość pokaźne miejsce na wystawie; więc i ten fakt usprawiedliwia nasz wniosek. W zapadłych kątach, w miastach i miasteczkach, odległych od wielkich ognisk przemysłu skórzanego, oddzielonych uciążliwą i kosztowną komunikacyą, drobny przemysł jeszcze się trzyma dzielniej i wierzy, że popis publiczny da mu sposobność do szerszego rozwoju. Tych przynajmniej ożywia owo złudzenie, bo niewidzą zblizka wielkiego kapitału, usiłującego przedewszystkiem przełknąć tych, którzy u jego podnóża się rozłożyli. Tak więc, zarząd Muzeum rzemieślniczego, chcąc poprzeć drobnych wytwórców, rozsławił wielkich. Gdyby protegowani zrozumieli, jakie ztąd mogą wyniknąć dla nich rezultaty, nie byliby za tę usługę wdzięczni swym opiekunom. Zresztą, o ile nie są ofiarami obecnej formy rozwoju ekonomicznego, sami temu winni. *Zn.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

W SEKCYI ROLNEJ.

Zapytania i odpowiedzi. — Losy różnych delegacyj i ich działalność.— Skuteczne rozwiązywanie spraw.— Odkopanie Pompei. — Losy oficyalistów w tece p. Plewaki. — Czem mogą być układy celne i czem są taryfy różniczkowe dla rolników Królestwa Polskiego.— Elewatory i kredyt na sola-weksle. — Znaczenie analizy gruntów w związku z próbami nawozowemi.— Honor prezydyum ocalony.

Uczestnicy sekcyi rolnej zbierają się raz na miesiąc i zwykle mają tyle spraw do rozejrzenia i osądzenia, że prawie zawsze program porządku dziennego bywa w połowie wykonany. Ale po za obradami istnieją delegacye, których zadaniem jest puszczoną w ruch sprawę toczyć dalej aż do następnego posiedzenia. Zwykle tak się dzieje. Ktoś w osobnym referacie zaznacza np., że lasy znikają, że przez to dzieje się krzywda nietylko rolnictwu, ale i całej ludności, że trzeba coś obmyśleć, żeby te bogactwa naturalne zaoszczędzić. O takim stanie rzeczy wiedział każdy z uczestników sekcyi nie od dzisiaj, wiedział cały stan ziemiański, głosiła prasa. Ale skoro tę sprawę poruszono na obradach, trzeba ją rozstrzygnąć, zapobiedz klęsce i gospodarce rabunkowej. W jaki sposób? W najprostszy! Wybrać osobną delegacyę: ona już wie, co zrobić. I czekamy rezultatów tej działalności, pewni, że wszystko będzie jak najlepiej, że ona podźwignie i ochroni lasy, w chwili, gdy wszechpaństwowe zjazdy, mające bogactwo danych i łatwość zdobywania uświęceń swych wniosków, napotykają wiele trudnych do zwyciężenia przeszkód. Cóż delegacya leśna? — pyta ktoś na ostatniem posiedzeniu (w ubiegły poniedziałek). — Nie ma jej jeszcze; nie zdą-

żyliśmy wybrać członków i... prezesa. — No, zróbcież to panowie nareszcie do... przyszłego posiedzenia. — Panie prezesie obrad! a inne delegacye — co one robią? Np. delegacya ubezpieczeń, która dużo czasu pochłonęła? — A, ta zupełnie zbyteczna, przecież system ubezpieczeń, o którym mówiliśmy, nie jest ściśle rolny, więc sekcya go się wyrzeka i delegacyę dotąd nieczynną rozwiązuje. Załatwijmy tę sprawę zdaniem — dodaje p. Jeziorański — że projekt jest dobry.—No, a „delegacya homeopatyi(!) nawozowej p. Frydry“?—Ta— nieczynna.—Dlaczego?—Bo nikt nie chce pojechać do p. Frydry, aby się przyjrzeć jego systemowi. — I nikt nie pojedzie, panie prezesie? — Któżby tam się chciał tłuc aż w Lubelskie. — Więc delegacya? — Umorzyć ją! — A delegacya syndykatu nawozowego? — Co? takiej u nas nie było — woła ktoś zdumiony. Syndykatu! skąd się ta nazwa wzięła? — Pan Krasiński ją zaproponował. — Nie, pan Krasiński nie proponował jej wcale. — Więc dajmy jej pokój. Mieliśmy: delegacyę homeopatyi nawozowej, drugą — syndykatu i poprostu— nawozową. Połączmy to wszystko w kupę i wybierzmy trzech przedstawicieli pod nazwą agentury. Zadaniem jej będzie wywiadywać się, gdzie można tanio dostać nawozu, dalej—ocena tego produktu, sprowadzanie nasion, maszyn itd. — Dobrze, do przyszłego posiedzenia! Łączą się jeszcze dwie delegacye, których stworzenie dużo czasu pochłonęło: kredytu melioracyjnego i — melioracyjna. P. Kłobukowski zrzeka się jej steru — oznajmia wiceprezes, p. Jeziorański — może więc pan, panie radco, zechce przyjąć ten obowiązek na siebie — proponuje sąsiadowi. — Właśnie, panie prezesie, chciałem to panu zaproponować. — Cóż robi delegacya oceny rachunkowości małżonków Meylertów? — Niestety!—wzdycha wice-prezes—jest to robota za ciężka, więc nikt nie chce się podjąć oceny. — Milczenie!—Przyjrzyjmy się z kolei delegacyi, noszącej tytuł: „Jak gospodarować w majątkach zdewastowanych?“ Nic ona jeszcze dotąd nie zrobiła, bo za mało ma... radców. Jest trzech, ale wszyscy są innego zdania. Trzeba tedy ją wzmocnić wprowadzeniem tych, którzy umieją tanio gospodarować. Więc do... przyszłego posiedzenia! Zasługuje jeszcze na uwagę świeża delegacya dla poprawienia bytu oficyalistów wiejskich. Na poprzedniem zebraniu p. Napiórkowski poruszył tę sprawę i tak wyglądało, jak gdyby się ona pierwszy raz obiła o uszy zebranych członków i prezydyum. Cały miesiąc dał możność rozejrzenia się w przeszłości i oto okazało się, że kwestya poprawienia losu oficyalistów nieraz już była na porządku dziennym sekcyi rolnej, że nawet napisano i złożono tam masę wyczerpujących rozpraw w tym przedmiocie. Gdzież się one podziały? Warto je obecnie dołączyć do innych materyałów. — Niema! Pan Plewako zabrał i nie wiadomo, co z niemi zrobił. Był projekt kompletnie wykończony i ten utonął u p. Plewaki. Tak więc jeden miesiąc poświęcono na odkopanie Pompei, drugi trzeba poświęcić na wyszukanie dokumentów, świadczących o jej życiu. Cieszcie się, oficyaliści!..

Resztę posiedzenia wypełniły sprawozdania i odczyty. P. Jeziorański scharakteryzował zapatrywanie prezydyum na toczące się obecnie układy celne z Niemcami i na ich możliwe rezultaty. Za przedmiot do smutnych rozmyślań posłużyły uwagi p. Kazi, wypowiedziane niedawno w Petersburgu na posiedzeniu głównego Tow. pop. rusk. przem. i handlu. Referent żąda, aby taryfa celna z r. 1891 była podstawą do uchwał w Berlinie. Co stąd grozi Królestwu? Taryfy różniczkowe zrobiły to, że zboże, dzięki taniości transportu, napływa na rynki tutejsze w rozmiarach o wiele przechodzących zapotrzebowanie. Tak np., według sprawozdań urzędowych, przychodzi do Warszawy z Cesarstwa 12,849 wagonów ziarna rocznie, czyli o 40% więcej, niż potrzeba. Taki sam napływ daje się spostrzegać w Łodzi i innych miastach. Kto z tego korzysta? Kilkudziesięciu kupców zbożowych, podczas gdy wytwórcy Królestwa ponoszą klęskę dotkliwą. W razie zerwania układów z Niemcami, położenie jeszcze bardziej się pogorszy, bo chociaż istnieją drogi morskie dla przewozu produktu do innych państw, to rolnicy tutejsi nie mogą z nich korzystać. Przewóz bowiem zboża nawet do najbliższego portu — Libawy, jest tak kosztowny, że tylko wyrządziłby straty producentom. Wobec tego życzyć tylko trzeba, ażeby układy z Niemcami przyszły do skutku w formie umożliwiającej tani przewóz zboża z Królestwa. Jeżeli zaś, jak chce p. Kazi, podstawą umowy będą taryfy z r. 1891 — dla ziemian tutejszych niema żadnego punktu wyjścia. Tak się przedstawia obraz położenia, naszkicowany przez prezydyum sekcyi. Należałoby więc, nawet nie odkładając „do przyszłego posiedzenia,“ sprawę tę opracować gruntownie i przesłać głównemu Tow. pop. przem. i handlu.

P. Turski w swoim referacie opowiedział rzecz powszechnie znaną o elewatorach i naszkicował ją w sposób dorywczy, bardzo pobieżnie. Zasadniczą zaś myślą autora było wprowadzić w Królestwie organizacyę na wzór Towarzystwa elewatorów w Cesarstwie, na które podobno rząd daje 25 mil. rs. Ale chcąc działać i korzystać z wzoru, trzeba się dokładnie obeznać z maszynoryą tego Towarzystwa. Cała bieda w tem, że ono... nie istnieje; referent tylko się dowiedział o jego projekcie ze wzmianek dziennikarskich, bardzo niepewnych. Dzięki więc tylko tak kruchym podstawom wniosku, ostatnie posiedzenie nie wzbogaciło działalności sekcyi nową delegacyą. Powstanie ona dopiero wtedy, gdy p. Turski zbierze więcej danych praktycznych o elewatorach w Cesarstwie, a sekcya sprowadzi ustawy największych tego rodzaju składów w Jałcie, Libawie i Odesie. Referent jeszcze zaznaczył potrzebę kredytu na sola-weksle dla rolników i żądał kołatania o to do władzy wyższej. Byłaby to więc próba ponowna, gdyż przed trzema miesiącami sekcya już kołatała i dotąd nie ma żadnej odpowiedzi.

W końcu p. Rugiewicz przeczytał swoją pracę gruntowną p. t. „Znaczenie analizy ziemi w związku z próbami nawozowemi.“ Przed rokiem jeszcze na posiedzeniu listopadowem autor zaprojektował zorganizowanie prób z nawozami sztucznymi w całym kraju pod kierunkiem sekcyi rolnej, która wszakże „przeszła nadtem w milczeniu do porządku dziennego.“ Dopiero po dłuższym namyśle stworzono delegacyę nawozową i jest ona dziś bodaj najpłodniejszą (liczy przeszło stu uczestników). Wezwanie do prób nawozowych rolnicy chętnie przyjęli, ale natomiast prośba stacyi sobieszyńskiej o nadsyłanie próbek ziemi do analizy wprost przeciwny skutek odniosła, pomimo że dla gruntów typowych stacya chciała tę czynność uskuteczniać bezpłatnie. Ten znamienny rys nieufności do próbowania ziemi jeszcze bardziej się zaznacza wobec chętnego udziału w próbach nawozowych, kosztujących każdego uczestnika przeszło 30 rs. Otóż p. Rugiewicz stara się za pośrednictwem sekcyi zwrócić uwagę ogółu rolników na doniosłość analizy ziemi w związku z próbami nawozowemi. Zarząd stacyi sobieszyńskiej wezwał sekcyę chemiczną Tow. pop. rusk. przem. i handlu do obrania najodpowiedniejszej metody i opracowania szczegółowych wskazówek dla chemicznej analizy ziemi. Sekcya powyższa wybrała w tym celu komisyę, ale, zdaniem referenta, w tak ważnej sprawie udział wyłącznie chemików jest niedostatecznym. Radzi więc, aby delegacya nawozowa złączyła się z powyższą komisyą i wspólnie opracowała instrukcyę badań, która w przyszłości stałaby się obowiązującą dla stacyi sobieszyńskiej, labortoryum przy Warszawskim oddziale ruskiego przemysłu i rolnictwa i wreszcie dla wszelkich pracowni chemicznych w Królestwie, czyniących rozbiór gruntów. P. R. radzi co do wybrania jednolitej metody analitycznej, porozumieć się z Instytutem w Nowej Aleksandryi, szkołą rolniczą w Dublanach i wydziałem rolnym w Krakowie. W ten sposób można byłoby osiągnąć dokładną ogólną charakterystykę gruntów na znacznych przestrzeniach kraju, rolnicy zaś pod takiem działaniem możeby nareszcie zrozumieli doniosłość analizy ziemi, której znaczenie dobrze cenią... chłopi czescy. Zdawałoby się, iż nie pozostaje nic innego, tylko wniosek p. Rugiewicza przyjąć zgodnie bez zastrzeżeń. Ale i tu wysunęło się szydełko — ambicya prezydyum: — My się mamy udawać do sekcyi chemicznej? Niech się oni domyślą i połączą z nami! Na szczęście byli chemicy na posiedzeniu, którzy zdołali przekonać szanowne prezydyum, że na pierwszeństwie propozycyi honor jego wcale nie ucierpi.

Zn. Pt.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Bank ziemski w Wilnie. Zmieniono jeden z ważnych artykułów ustawy: Jeżeli dłużnik nie zapłaci w terminie ustanowionych rat — uzyskuje półroczną prolongatę z opłatą od każdej zaległości przez pierwsze dwa miesiące po ½%, a przez następne po 1% miesięcznie, licząc niepełny za cały miesiąc. W razie nawiedzenia zastawionych majątków przez nadzwyczajne klęski, które wywołały znaczne zmniejszenie się dochodów, tudzież w razie śmierci właściciela, zarząd Banku ma prawo udzielać ulg w opłatach rat, za pomocą rozłożenia na trzy lata nie więcej, niż dwóch rat półrocznych z warunkiem, aby zostały pokryte równemi spłatami. Można także prolongować na rok jedną ratę. Za te ulgi dłużnicy powinni płacić po 6% od każdej raty zamiast kary.

Agentury. Ministeryum komunikacyi otworzy w większych miastach pięć agentur handlowych dla poparcia wewnętrznego ruchu towarowego. Moskiewska popierać będzie głównie interesy produkcyi naftowej i — okręgu swojego, warszawska zajmie się okręgiem fabrycznym łódzkim i sosnowickim tudzież przemysłem węglowym Królestwa Polskiego i produkcyą cukrowni miejscowych; agentura charkowska popierać ma rozwój miejscowego przemysłu rolnego, górniczego i węglowego; południowo-zachodnia i południowo-wschodnia zwrócą uwagę głównie na ruch zbożowy. Agentury mają mieć licznych korespondentów, co da możność posiadania w każdej chwili całokształtu warunków przemysłowo-handlowych.

Ulgi. Jak wiadomo, dotąd otwieranie fabryk opłatne było zawiłą siecią formalności i zależało od pozwolenia ministra skarbu. Nadal pozwolenia takie udzielać będą komisye fabryczne, z wyjątkiem tych fabryk, których produkcya ma wpływ szkodliwy na zdrowie, lub których istnienie krępuje ludność okoliczną. Komisye powstaną we wszystkich guberniach, a w skład ich wejdą przedstawiciele administracyi, władz sądowych, zarządu miejskiego, ziemskiego i urzędów lekarskich. Instytucye te będą poddane pod władzę rady do spraw handlu i przemysłu z ministrem skarbu na czele. Rada rozpada się na dwa oddziały: przemysłowy i handlowy, członkowie zaś jej składać się będą z przedstawicieli wszystkich interesowanych władz i różnych gałęzi przemysłu tudzież handlu. Roztrząsać ona będzie wszelkie skargi na komisye fabryczne i rozważać wszelkie projekty w zakresie spraw fabrycznych i przemysłowych. Taka organizacya przyczyni się do zmniejszenia kłopotliwej i pochłaniającej dużo czasu — korespondencyi między oddzielnemi władzami.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź p. Czernemu (z powodu drugiego wydania „Geografii rozumowej) *).

Jakkolwiek „prof. geografii w uniw. Jagiellońskim“ stawia mej pracy zarzuty chaotycznie, żeby nie powiedzieć bezmyślnie, postaram się jednak rozklasyfikować je tutaj, mianowicie: 1) zarzuty, że tego lub owego nie uwzględniłem lub nie objaśniłem; do tej kategoryi odnosi się też zarzut szerszy, że w książce mej wypełniłem zasadę rozumowości „tylko w $^1/_3$“; 2) zarzuty faktyczno naukowe oraz zarzuty uporządkowania; 3) zarzuty co do języka i stylu.

1) *Zarzuty pierwszej kategoryi* są tego rodzaju, iż je może stawiać każdy, kto podczas pisania recenzyi rozłoży przed sobą spis rzeczy jakiejś książki obszerniejszej, traktującej ten sam przedmiot. Zarzuty te wtedy tylko mają wagę, gdy recenzent *motywuje*, *dlaczego taka a taka kwestya powinna być umieszczona*, a nawet wykazuje na trudniejszych przykładach, w jaki sposób umieszczona być mogła (wobec przygotowania naukowego czytelników, dla których jest przeznaczona); no ale p. C. nie zdaje się nawet domyślać, że takie stanowisko recenzent zająć powinien. Ja tymczasem nie przystąpiłem bynajmniej tak „lekkomyślnie“ do pisania mego „dziełka,“ jak p. C. do pisania swej *recenzyjki*: trzymałem się zasad, które sobie postawiłem; jedną z tych zasad było, że ponieważ geografia astronomiczna i fizyczna gruntownie traktowane, wymagają takiego przygotowania z matematyki i fizyki, jakiego uczniowie klasy I-ej (a chociażby i II-ej) nie posiadają, więc tę część nauki należy w podręczniku geografii powszechnej dla klas niższych traktować nie jako cel, lecz jako środek konieczny do zrozumienia geografii szczegółowej; a to tem bardziej, że tamte części traktują się w wyższych klasach po raz drugi, gruntownie. Dlatego wielu kwestyj, których nieuwzględnienie zarzuca mi p. C. „na chybił trafił,“ ja nie uwzględniłem zupełnie świadomie. I tak np. zarzuca mi p. C., że nie uwzględniłem prawie zupełnie kosmografii (np. systematu planetarnego, więc wyliczanie nazw planet); zarzut ten najlepiej ilustruje, jak p. C. nie zdaje sobie logicznej sprawy z tego, co w podręczniku geografii szkolnej być powinno, a co nie powinno; albowiem nieumieszczenie kosmografii stanowi właśnie pedagogiczną zaletę podręcznika; kontent jestem, że mogę obecnie na poparcie mego stanowiska przytoczyć późniejsze zdanie wiedeńskiego astronoma, d-ra Holetscheka, który, rozbierając kwestyę przeładowania podręczników geografii astronomicznej rzeczami niewłaściwemi, powiada: „mann steige getrost vom Himmel auf die Erde herab und überlasse die Nebelflecke, Sternsysteme, den Bau des Himmels u. s. w. den Astronomen“ *). Z równą słusznością chce p. C. wykładu całej teoryi Laplasa oraz metod wyznaczania szerokości geograficznej na gruncie, zapominając, że do tego potrzeba matematyki, której uczeń klasy I-ej nie umie. Chce p. C. dalej, abym wyłożył drogę, zapomocą której nauka doszła do cyfr, oznaczających wymiary sferoidu. Tu już opuszcza mnie wiara nietylko w pedagogiczny takt „profesora geografii,“ ale zaczynam powątpiewać, ażali szanowny profesor sam ma jasne pojęcie o tych drogach, jeżeli przypuszcza możliwość wyłożenia ich pierwszoklasistom: wszakże nawet w przypuszczeniu doskonałej kuli potrzeba w tym celu znajomości formuł matematycznych, które przecież w klasie I-ej wykładane nie są. Chce p. C. w tymże samym sensie, abym tłomaczył burze (tj. rozwijał teoryę cyklonów, anticyklonów, gradientów itd.), mechanizm wytrysku gejzerów, co do których (p. C. zdaje się o tem nie wiedzieć) istnieje kilka teoryj **). Rzecz godna uwagi, iż p. C. sam przyznaje, że niektóre z tych kwestyj, jakie *on* porusza, są za trudne dla podręcznika szkolnego; a więc pozwoli się zapytać: pocóż zajmuje sobie i mnie „cenny czas“ przepisywaniem spisu rzeczy z większych podręczników? Chyba że trzeba to uważać jako właściwy panu C. popis czy sport geograficzny!

Te same zarzuty powtarzają się i w innych działach geografii: za mało ludów wyliczyłem w Ameryce, nie wymieniłem wszystkich ludów wymierających na ziemi, w rozdziale o religii nie wymieniłem wszystkich systematów religijnych, lecz uczyniłem to dopiero później „okolicznościowo.“ Cóż za naiwność pedagogiczna! Ależ ja uczyniłem to umyślnie, aby tego rozdziału geografii ogólnej nie zmienić w „mnemotechniczną“ litanię. Nie wyliczyłem dość telegrafów i kolei żelaznych; tymczasem ja świadomie wspominałem tylko o takich, które się dały wyjaśnić wyraźnymi wpływami geograficznymi (jak np. na przesmykach, wołokach, zbliżeniach rzek itp.). I to, proszę zauważyć, tego rodzaju zarzuty mogą się u p. C. pomieścić logicznie obok zarzutu, że u mnie „wiele jeszcze pozostało dla mnemotechniki.“ Zarzuca mi dalej p. C., że nie wyjaśniłem bieguna zimna na str. 287, zamilcza jednak szlachetnie, że wyjaśniłem to wprzód na str. 232 (wyd. 1-sze); p. C. widać „zanadto ceni czas“ nawet na to, aby być sumiennym. W podobnym sensie i podobnie uzasadnione są zarzuty co do wyjaśnienia, dlaczego tasmańczycy wymarli, dlaczego chińczycy pracują w Australii itd. (o przyczynach wymierania oraz emigracyi powiedziałem w części ogólnej).

Jako uogólnienie zarzutów co do braku objaśnień wypada panu C., że ja moje założenie (rozumowe traktowanie) wypełniłem „zaledwie w $^1/_3$ książki.“ Na to obliczenie p. C. nie mogę naturalnie odpowiedzieć wprost, obliczenie to bowiem jest tajemnicą matematycznych podstaw krakowskiego profesora, z którymi jako historyk chętnie udaje, że jest ściśle zaprzyjaźniony. Zamiast więc obliczać, mogę w imię etyki literackiej zażądać od p. C., ażeby mimo tak wielkiej „ceny czasu“ zechciał porównać mą książkę z podręcznikami szkolnymi dwóch najznakomitszych geografów niemieckich, Kirchhoffa i Supana; wówczas p. C., zatrzymując nawet swą ściśle obliczoną $^1/_3$, znajdzie, że ułamek ów jest znacznie większy od ułamków, jakieby p. C. według tej samej metody obliczył dla Supana i Kirchhoffa. A jeżeli p. C. to przyzna, to w takim razie nie wolno mu dopóty potępiać mnie za ową $^1/_3$, dopóki sam nie napisze podręcznika, któryby wypełniał moje założenie przynajmniej w $^2/_3$. Niestety jednak rodzaj zarzutów, jakie p. C. stawia mej geografii, zachwiewa mocno mą wiarę, że znakomity profesor i mój „surowy“ mentor obdarzy naszą literaturę idealnym podręcznikiem, który uwolni społeczeństwo od mej „szpetnej“ lichoty.

*) Odpowiedź niniejszą na recenzyę pierwszego wydania, umieszczoną w *Bibliotece warszawskiej*, zakomunikowałem wkrótce ówczesnemu redaktorowi tego pisma, p. Plebańskiemu, który obiecał ją umieścić (na co mam dowód listowny); tymczasem ku wielkiemu memu zdziwieniu po kilku miesiącach odbieram od p. Pleb. zawiadomienie, że odpowiedzi tej drukować nie może, ponieważ p. Czerny, któremu artykuł mój był posłany do Krakowa, nie dał nań żadnej odpowiedzi (także racya!). Wobec kilkomiesięcznej zwłoki oraz obarczenia innemi pracami, musiałem sprawy tej na razie zaniechać i postanowiłem odpowiedzieć przy drugiem wydaniu książki. To też po rozpoczęciu druku wręczyłem niniejszą odpowiedź memu wydawcy, który obiecał ją umieścić na końcu; tymczasem gdy już ostatni arkusz był w druku, p. Paprocki zawiadamia mnie, iż odpowiedzi mej „nie akceptuje“ (jakkolwiek dodatki były zastrzeżone kontraktem). Ta zwłoka z „nieakceptowaniem“ aż do końca druku jest tak *roztropnem* postąpieniem p. Teodora Paprockiego, iż sądzę, że ludzie wiedzieć o niem powinni.— Tak to u nas trudno dobić się sprawiedliwości i gdyby nie Redakcya *Prawdy*, czytelnik krytyki p. C. pozostałby dotąd w złudzeniu, że książka moja jest lichotą, a szanowny p. Teodor Paprocki mógłby wieloletnią cudzą pracę, z której ciągnie zyski, poniewierać zupełnie bezkarnie.

*) „Zeitschr. für Schulgeographie,“ 1887, str. 41.

**) „Die Natur,“ 1881, nr. 31.

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zarząd okręgu policyjnego w Marienwerde zwrócił się do władz tutejszych z zawiadomieniem, iż z polecenia rządu niemieckiego granice tego państwa zamknięto dla emigrantów, napływających z Cesarstwa i Królestwa. Zostawiono im jedynie wolne przejście przez stacyę kolejową w Toruniu oraz drogę wodną ze stacyą kolejową Szylno (Schilnau).

— Główny zarząd poczt i telegrafów zajął się sprawą podniesienia poziomu umysłowego listonoszów. Jednocześnie mają być uproszczone różne formalności pocztowo-telegraficzne i praca biurowa w kantorach pocztowych. (*Peterb. Wied.*).

— Inspekcya fabryczna dokona szczegółowej rewizyi warsztatów dla zbadania warunków sanitarnych. Majstrowie, którzy niewłaściwie się obchodzą z terminatorami, niezależnie od odpowiedzialności sądowej, będą pozbawieni prawa przyjmowania uczniów do terminu.

Szkoły. Szkoła rolnicza w Sobieszynie będzie w roku przyszłym otwarta.

— Ministeryum dóbr państwa wydało rozporządzenie, dotyczące urządzenia pasiek przy wszystkich szkołach, pozostających pod władzą departamentu leśnego.

— Turcya zwróciła się do rządu ruskiego o delegowanie pewnej liczby agronomów, dla zorganizowania szkół rolniczych na półwyspie Bałkańskim.

— Podczas przyszłego zjazdu profesyonalistów urządzona będzie wystawa prac uczniów szkół fachowych, ustaw, pomocy naukowych, podręczników itd. Do udziału zaproszone będą szkoły męzkie i żeńskie, rządowe i prywatne tudzież osoby interesujące się sprawą wykształcenia specyalnego.

— Wkrótce wzbronione będą urzędowo wszelkie korporacye studenckie w Jurjewie. Stowarzyszenia bez charakteru korporacyjnego pozostaną. Przed tem— jak pisze *Rusk. żizń* — organizacya ich ma być „należycie uporządkowaną.“

— Akademia rolnicza piotrowska nie będzie zamknięta lecz zreformowana od nowego roku.

Komunikacye. Komisya zajmująca się sprawą przekształcenia zarządów okręgowych szosowych i wodnych, opracowała następujące zasady reform: Urzędy komunikacyi wodnych będą trzech kategoryi: cztery I-ej: wołżański, maryjski, newski, dnieprzański, dwa II-ej: wiślany, zachodnio-dźwińsko-niemeński; i dwa III-ej: kamski i doński. Urzędy szosowe będą utworzone według jednego typu.

Zdrowie publiczne. Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie stara się o powiększenie przytułków położniczych i lepsze wygody dla chorych.

— Władza pograniczna w Gdańsku postanowiła nie przepuszczać flisaków i szyprów z Królestwa Polskiego, nie zaopatrzonych w świadectwa sanitarne.

— Wobec bardzo niepomyślnych warunków zdrowotnych w okręgu dąbrowskim, departament górniczy zobowiązał obecnie wszystkich przemysłowców do stworzenia prawidłowej pomocy lekarskiej. Huty i kopalnie, mające więcej niż 100 robotników, powinny mieć oddzielne lokale na szpital i stałych w nich felczerów. Lekarze zaś muszą odwiedzać ambulatorya codziennie w oznaczonych godzinach. Gdzie liczba robotników jest mniejsza, codzienne wizyty lekarza nie są obowiązujące, ale natomiast obecność felczera konieczna. Właściciele kopalni i hut mogą urządzać szpitale na wspólny koszt. Przepisy powyższe obowiązują od 13 b. m.

Sprawy kolejowe. Oprócz kolei Warszawsko-Petersburskiej, Mikołajewskiej i Moskiewsko-Niższonowogrodzkiej, przechodzą do skarbu od stycznia roku 1893: Mitawska i Ryzko-Dźwińska.

— Pomiędzy Lloydem austryackim w Tryeście a towarzystwami kolei: Południowo-Zachodnich, Kursko-Charkowsko-Azowskiej, Moskiewsko-Brzeskiej i Petersbursko-Warszawskiej, prowadzone są obecnie układy w sprawie wprowadzenia od wiosny r. p. komunikacyi bezpośredniej z Tryestem a następnie z Europą południową i brzegami Afryki.

Literatura i sztuka. Wystawa prac Andriolego w salonie artystycznym przedłużoną została na jeden tydzień.

— Wydawca gazety *Lodzer Zeitung*, Leopold Soner, otrzymał pozwolenie na wydawanie dwa razy tygodniowo pisma ruskiego p. t. *Łodzinskij listok*.

Bibliografia. W. Wysocki. *Bocian*, dwie legendy, str. 39, Kijów i Odessa, Koreywo.

— T. Prażmowska. *Podarek babci*, z ilustracyami H. Piątkowskiego, str. 111, Warszawa, Paprocki.

— *Kalendarz humorystyczny* ilustrowany, wydany staraniem *Kuryera świątecznego*, str. 88, Warszawa, Paprocki.

— Kalendarz *Wieku* na r. 1894.

— *Kalendarz powszechny* na r. 1894, str. 136, Warszawa, Paprocki.

— *Kalendarz lubelski* na r. 1894, str. 80.

— A. Chassang i A. L. Marcou, *Epos*, przełożył i uzupełnił A. Lange, str. 434, Warszawa, Paprocki.

— B. Perez, *Charakter* od lat dziecięcych do wieku dojrzałego, przeł. R. D. str. 288, Warszawa, Paprocki, rs. 1 k. 50.

— A. Gruszecki, *Tuzy*, powieść, str. 521, Warsz.

— W. Weyhertówna, *Książeczka dla tych, którzy chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku*, str. 78, Warszawa, Obuchowski.

— *Pismo święte* przekł. Wujka z ilustracyami dawnych pomników i zabytków, dodatek bezpłatny do *Wędrowca*, zeszyt I.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu E. G. Szczegółów, z którymi nas Pan zaznajamia co do *S. W.* nie znaliśmy a z nadesłanego nam zeszytu sądziliśmy, że jest to wydawnictwo poważne.

Panu I. K. T. Ach, Panie, gdybyśmy chcieli zbierać wszystkie kwiatki stylowe niektórych dzienników naszych, nie zmieścilibyśmy takich bukietów w numerach *Prawdy*. Nadesłana próbka nie jest jeszcze najgorszą.

Pani A. C. w Kijowie. Odpowiemy później.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Ноября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.